

GRUPA

1986
KWIECIEŃ

NR
ROK V 4



PO RAZ PIERWSZY NA ŁAMACH „GRYFA”

Prezentujemy twórczość Jerzego Stachurskiego

Poeta, kompozytor młodego pokolenia, kierownik artystyczny Zespołu Marynarki Wojennej „Flotylla”. W dorobku literackim posiada kilka opublikowanych tomików wierszy, m. in. okazały zbiór poezji „Droga” ukazujący w bardzo interesujący sposób dzieje przydrożnych sygnaturek i bożemk na Kaszubach.

Jest autorem poezji dla dzieci, m. in. zbioru zatytułowanego „Gwiazdka”.

W twórczości kompozytorskiej — liczne piosenki do tekstów pisanych w literackiej polszczyźnie i po kaszubsku.

Od dwóch lat Jerzy Stachurski jest kierownikiem muzycznym PTL „Tęczna” w Słupsku. M. in. opracował muzykę do widowiska „Nie zawsze jest tak, jak się komu wydaje” Jana Ośnicy. Współpracuje także, komponując muzykę, ze Słupskim Teatrem Dramatycznym. Ostatnio opracował muzykę do „Świadkowie czyli nasza mała stabilizacja” Różewicza oraz do „Antygony” Sofoklesa.

GRYF

WOJEWÓDZKI
INFORMATOR
KULTURALNY

ŚLUPSK • KWIECIEŃ • 1986 r.

W NUMERZE:

O DORAŻNOŚCI DZIAŁAŃ W KULTURZE PISZE **WALDEMAR PAKULSKI** • O DYSKUSYJNYM KLUBIE FILMOWYM PRZY ZSMP W ŚLUPSKU ROZMAWIA **STEFAN MILER** • DO WIĘKSZEJ TROSKI O POZIOM KULTURY MUZYCZNEJ NAWOLUJE **MIECZYSLAW JAROSZEWICZ** • REFLEKSJAMI PO KONKURSIE RECYTATORSKIM DZIELI SIĘ **JOLANTA NITKOWSKA** • NA WSPÓŁCZESNE TREŚCI KSIĘGI KROFEYA WSKAZUJE **URSZULA MACZKA** • Z RZEZBIARZEM—AMATOREM ZAPOZNAJE NAS **ZDZISŁAWA ORŁOWSKA** • NAD „PROZĄ” PLACÓWEK KULTURY UBOLEWA **MIROŚŁAWA MIRECKA** • DZIĘJE RZECZYPOSPOLITEJ PRZYBLIŻA **JÓZEF LINDMAJER** • REPORTAŻ O ŻYCIU MŁODEJ RODZINY NAPISAŁA **BOŻENA JAKIMOWICZ** • SŁAWY POLSKIEJ FLOTY PREZENTUJE **W. M. WACHNIEWSKI** • „HISTORIĘ KINA” KONTYNUUJE **JAN SROKA** • DO LEKTURY KSIĄŻEK IVO ANDRICIA ZACHĘCA **STANISŁAW MISAKOWSKI** • PONADTO: OPOWIADANIE **ANDRZEJA ŻOKA**, RECENZJA **STEFANA ŻURAWSKIEGO** ORAZ KRONIKA, REPERTUARY I DUET KRZYŻÓWKOWY.

a, kryją się wstydliwie za ocjacji. W powodzi narad, terech z dziesięciu Pola- ręki ani jednej książki. w życiu nie było w teatrze. filharmonii i na koncer- cej statystyki — powsze- ajmniej dyskusyjna. Mo- k ich nie dostrzegać.

ury?

zywistość proporcjonalna jest do owych odczuć, czy wrażenia ma- oparcie w faktach i zjawiskach strona medalu przystaje do a-

ternaście lat dzieli nas od prze- giego Tysiąclecia, a data ta ma ie tylko symboliczny, ale i re- się, że nie rozumiemy zmian, usza i niesie ze sobą Czas poj- ealnie i fizycznie. Boję się, że ażamy sobie dostatecznie realnie i w kulturze. Powie ktoś, cóż Ważniejsze jest, aby ludzie mie- ntowany byt, pracę, mieszkania...

tworzy człowieka. Nic na to poradzić nie można. Tworzy — , miażdży — jeśli jest byle ja- rczyć dowodów? Proszę zatem danych statystycznych zacyto- a początku...

ność tych uwarunkowań mają raportu o stanie kultury, choć llowie to przekonanie uzewnę- W każdym razie zbyt słabo, by mienia. Świadomość tego stanu est również w projekcie Progra- . Oba dokumenty winny być do- dyskutowane, wręcz studiowane estety — nie są. Szkoda to wiel- ej dyskusji tak niemrawo bierze

PO RAZ PIERWSI

Prezentujemy twó Jerzego Stachursk

Poeta, kompozytor młode Marynarki Wojennej „Flot” opublikowanych tomików w ukazujący w bardzo interes i bożemk na Kaszubach.

Jest autorem poezji dla zdka”.

W twórczości kompozytor w literackiej polszczyźnie i p

Od dwóch lat Jerzy Stachurski „Tęczna” w Słupsku. M. in. c jest tak, jak się komu wyda ponując muzykę, ze Słupsk cował muzykę do „Świadkow oraz do „Antygony” Sofokles

WYDAJE: Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pobrzeże” w Słupsku

ADRES REDAKCJI: 76-200 Słupsk, ul. Zamenhofa 1, tel. 283-13, 238-05.

KOLEGIUM REDAKCYJNE: Czesław Gomułkiewicz, Ryszard Hetnarowicz, Urszula Mączka, Andrzej Szulc, Andrzej Turczyński.

REDAGUJĄ: Waldemar Pakulski — redaktor naczelny (tel. 266-08) i Elżbieta Poturaj — sekretarz i oprac. techniczne (tel. 239-12). Zdjęcia barwne Jan Maziejuk.

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca, zastrzega sobie również prawo ich skracania. Opinie przedstawione w „Poczcie” nie zawsze są zgodne z poglądami redakcji.

Na okładce:

— Pomnik Karola Szymanowskiego w Słupsku — fot. Tadeusz Martychewicz

— Tableau uczestników pleneru „M — jak morze”. Ustka 1981 r. — fot. Ireneusz Wojtkiewicz

WARUNKI PRENUMERATY:

cena prenumeraty: kwart. 45,— półr. 90,— rocznie 180,—

1. Dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy:

— instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w mieście wojewódzkim i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch” zamawiają prenumeratę w tych Oddziałach,

— instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

2. Dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratorów:

— osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa—Książka—Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli,

— osoby zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziału RSW „Prasa—Książka—Ruch”, opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora.

Wpłaty należy dokonywać na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa—Książka—Ruch”.

Terminy przyjmowania prenumeraty:

— do dnia 10 listopada na I kwartał, I półroczcie roku następnego oraz cały rok następny,
— do dnia 1-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

DRUK: Poligraficzna Spółdzielnia Pracy w Słupsku. Nakład 1000 egz. Format B-5. Zam. 612. Druk barwnej okładki: Prasowe Zakłady Graficzne w Koszalinie. L-8.

Cena 15 zł

Pewne fakty są trudne do zinterpretowania, kryją się wstydliwie za fasadą raportów, programów, oficjalnych enuncjacji. W powodzi narad, spotkań, sympozjów tonie taka informacja: czterech z dziesięciu Polaków w wieku od 15 do 40 lat nie wzięło do ręki ani jednej książki. Sześciu z dziesięciu naszych rodaków nigdy w życiu nie było w teatrze. Jedynie dwóch z dziesięciu Polaków chodzi do filharmonii i na koncerty. Słowem, aby nie ciągnąć dłużej tej żenującej statystyki — powszechność odbioru i dostępu do kultury jest co najmniej dyskusyjna. Można się na te fakty gniewać, nie sposób jednak ich nie dostrzegać.

Prawo do kultury?

WALDEMAR PAKULSKI

Powie ktoś, no cóż, obecnie książki są drogie, są jednak biblioteki. Za mało mamy teatrów — powie inny. Otóż teatrów mamy aż 70, o wiele — jak mi się wydaje — za dużo. Mamy również 20 filharmonii, ileś tam orkiestr kameralnych, zespołów. Za mało? Muzeów różnych specjalności aż 470 w całym kraju i co z tego? Frekwencja w nich jest najzwyczajniej wycieczkowa. Nie piszę o kinach, których faktycznie mamy za mało, ale i w kinach widza szukać ze świecą. Filmy wnoszące coś istotnego do dorobku kultury nie biją nigdy rekordów frekwencyjnych.

Jakkolwiek by oceniać, fakty są widoczne jak na dłoni. Wielu naszych rodaków w ogóle nie korzysta z prawa do kultury, nie dlatego, że ktoś ich w tym ogranicza, lecz dlatego, że nie odczuwa takiej potrzeby? Zaraz, zaraz, nie tak szybko z wyciąganiem takich wniosków...

Rok temu pisałem na tych łamach o naszej małej, dobrej stabilizacji usiłując zaniepokoić tych którzy niepokoić się powinni. Dzisiaj muszę ponownie posłużyć się tym tekstem.

Wielu ludzi mieszkających od Łeby aż po Debrzno sądzi, że żyją w wyjątkowym regionie. Zimy tu łagodniejsze, chleba wystarcza, czasami nawet trafiają się niezłe igryzyska.

Czy rzeczywistość proporcjonalna jest do tych pastelowych odczuć, czy wrażenia mają mocne oparcie w faktach i zjawiskach czy jedna strona medalu przystaje do awersu?

Tylko czternaście lat dzieli nas od przełomu drugiego Tysiąclecia, a data ta ma wymiar nie tylko symboliczny, ale i realny. Boję się, że nie rozumiemy zmian, jakie wymusza i niesie ze sobą Czas pojmowany realnie i fizycznie. Boję się, że nie wyobrażamy sobie dostatecznie realnie przyszłości w kulturze. Powie ktoś, cóż kultura... Ważniejsze jest, aby ludzie mieli zagwarantowany byt, pracę, mieszkania...

Kultura tworzy człowieka. Nic na to zjawisko poradzić nie można. Tworzy — gdy dobra, miazdzy — jeśli jest byle jaka. Dostarczyć dowodów? Proszę zatem wrócić do danych statystycznych zacytowanych na początku...

Świadomość tych uwarunkowań mają autorzy Raportu o stanie kultury, choć też wstydliwie to przekonanie uzewnętrzniają. W każdym razie zbyt słabo, by budzić sumienia. Świadomość tego stanu zawarta jest również w projekcie Programu PZPR. Oba dokumenty winny być dociekliwie dyskutowane, wręcz studiowane — lecz niestety — nie są. Szkoda to wielka, że w tej dyskusji tak niemrawo bierze

udział warstwa związana z kulturą niemal organicznie — czyli inteligencja. W projekcie programu PZPR czytamy: „W rozwoju Polski będzie rosnać rola inteligencji. To od niej w dużej mierze zależy, w jakim stopniu sprostamy wyzwaniom cywilizacyjnym i kulturowym, czy świadomość nowych pokoleń zostanie ukształtowana na miarę potrzeb nowoczesnego rozwoju, czy umocnimy pozycję wśród społeczeństw Europy i świata...”

Spójrzmy na tym tle na swoje własne podwórko. Nie zamierzam nikogo obrażać, nie chcę też wrzucać kamieni do cudzych ogródków, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, iż inteligencja, a przede wszystkim działacze kultury i ludzie ze środowisk twórczych w naszym województwie, uśpi-li swoją wrażliwość i wyobraźnię na zagrożenia, jakie niesie ze sobą nasza mała, dobra stabilizacja. Udają, że zamknęli się w wieży z kości słoniowej, twierdząc, że ich „chata z kraja”. A przecież główną powinnością tej warstwy nie może być frustracja i жалowe malkontentstwo. Czy alienacja inteligencji jest symptomem naszych wyłączeń czasów. Otóż nie. Już przed wojną pisał Stanisław Brzozowski że „warstwy kulturalne uważają swoje perypetie w nabywaniu kultury, swoje przejścia ideologiczne i stany dusz za właściwy rdzeń dziejów...”

Gryząca ironia przenikliwego pisarza i krytyka jest i dzisiaj na czasie, bo do inteligencji naszego regionu muszą dotrzeć nasilające się zagrożenia, brak myślenia dla przyszłości.

Pytania są ważne i nie sposób wobec ich przejść do porządku. Jaki ma być nasz region w kulturze za pięć, dziesięć, czternaście lat? Co faktycznie jest ważne dla regionu, a co tylko pozornie istotne. Zauważmy, że model obowiązującej kultury w regionie preferuje statyczność. Placówki tworzące lub upowszechniające kulturę skupiają się głównie w miastach. Czy to jest naprawdę potrzebne skoro w ich podwoje przychodzi niewiele ludzi? Co z tego wszystkiego ma mieszkanie ślupskiej wsi. Nic albo prawie nic. Może więc należy inaczej spojrzeć na obowiązujący kanon. Może należy zastanowić się naprawdę, o co faktycznie idzie w grze o przyszłość.

W projekcie Programu PZPR pisze się, że „W ocenie zjawisk kultury partia kieruje się jednością następujących kryteriów: walorami humanistycznymi, poziomem artystycznym, oddziaływaniem na postawy i kształt życia ludzi pracy, skutecznością wpływu na socjalistyczny rozwój narodu oraz integrację jego podstawowych klas. Szczególną humanistyczną misję kultury powinno być uszlachetnianie stosunków

międzyludzkich, ich ideowo-moralne i estetyczne wzbogacenie na miarę dalekosiężnych celów i potrzeb socjalizmu, (...) Miarą skuteczności polityki partii jest dostęp do kultury środowisk robotniczych i chłopskich, dzieci i młodzieży, wyrównywanie występujących w tej dziedzinie nieuzasadnionych różnic i dysproporcji zarówno klasowych jak i terytorialnych...”

W świetle tego co niesie w swoich treściach projekt Programu PZPR warto się zastanowić również, czy dostęp do kultury w naszym regionie jest rzeczywisty i faktyczny, czy tylko iluzoryczny? Schowano do kosza albo przepastnych szuflad niektóre przemyslenia, które kierowano do włodarzy kultury w latach poprzednich. Ukazywały one mizerię stanu posiadania, bo jaki na przykład jest dostęp do kultury mieszkanka wsi położonej na krańcach województwa. Do teatru dojedzie okazjonalnie, do muzeum również, na koncert nie pójdzie. Cóż pozostaje? Wiejski klub z prasą, spotkanie z nudnym prelegentem?

Spójrzmy, co proponuje na przykład robotnikom ślupskich, nie sięgając dalej zakładów pracy, animator czy działacz kultury pracujący w tym przedsiębiorstwie? Ano składanki satyryczne dla pocieszenia humoru w wykonaniu wytartych dawno gwiazd estrady, albo bilety na słynne „Wejście smoka”. Proponuje się więc niskiej klasy rozrywkę i nic więcej. Więc tylko tyle, czy aż tyle...

Jest też kwestia zupełnie niewrażliwa, trudno mówić o rozwoju środowisk twórczych w naszym regionie, jeśli stan poligrafii miejscowej jest więcej niż kiepski. Od wielu lat postulujemy zajęcie w tej sprawie rzeczowego stanowiska, bo sprawa poligrafii to nie tylko przecież sprawa doposażenia kultury, ale również zysk gospodarczy. Dobra i sprawna baza poligraficzna przyniesie również pożytki gospodarcze, przecież praktycznie nie ma w naszym regionie usług poligraficznych na dobrym poziomie.

Przyszłość w kulturze wymusza wiele znaków zapytania o kształt i funkcję, o znaczenie, jakie przydamy jej w czasie najbliższym i w dłuższym horyzoncie czasowym. Bo te pytania są ważne nie tak w ogóle, są ważne, bo rozwój regionu warunkowany jest rozwojem kultury także.

Ironią naszych czasów, tak to właśnie odczuwam, jest zjawisko, że stojąc przed drzwiami drugiego tysiąclecia, żyjąc w epoce przełomów — potrafimy myśleć wyłącznie płasko i doraźnie, nie martwić się o jutro. A przecież jutro, to dziś tylko cokolwiek dalej...

Rozmowa z Adamem Ławrynowiczem — przewodniczącym Rady Programowej Dyskusyjnego Klubu Filmowego „Po piątej” działającego przy Zarządzie Miejskim ZSMP w Słupsku.

Wypełnić lukę

— **Przybliż, proszę, cele DKF-u w Polsce.**

— Najważniejszym celem, jaki przyświeca temu ruchowi jest uczenie świadomego wyboru filmów, a przez odpowiedni repertuar filmowy pogłębienie wiedzy i refleksji o wielu ważkich sprawach życia w ogóle. Niewiele z urzędu zajmujących się kinematografią dostrzega fakt, że DKF-y (a jest ich w Polsce około 500), istniejące od 30 lat, właściwie są jedynymi placówkami upowszechniającymi kulturę filmową. A przecież jest bardzo dużo ludzi, nie tylko młodych, nie mających choćby podstawowej wiedzy o filmie, nie znających najważniejszych nazwisk i najciekawszych zjawisk z historii kina, a co za tym idzie nie w pełni rozumiejących artystyczną i pozaartystyczną wymowę filmów. Stan ten odzwierciedla niski poziom polskiej kultury filmowej. Brakuje fachowych książek o tematyce filmowej, także w szkołach praktycznie nie uczy się właściwej percepcji sztuki filmowej. Profesjonalne instytucje filmowe, mające przecież większe możliwości edukacji, nie wykazują inicjatywy w upowszechnianiu kultury filmowej. Lukę tę starają się więc wypełniać dyskusyjne kluby filmowe.

— **Kiedy powstał Wasz klub i na czym polega jego działalność?**

— Początku istnienia należy się doszukiwać w 1978 roku, kiedy przy SSK „Pobrzeże” powstał DKF, który w 1980 roku, przeszedł pod patronat ZSMP. Aktualnie klub skupia ok. 30 członków z różnych środowisk. Dotychczas przez klub „przewinęło” się ponad sto osób. Dwa razy w miesiącu odbywają się pokazy filmów, które z różnych względów trudno obejrzeć w przeciętnym kinie. Ponadto, raz w miesiącu w kinie „Polonia” odbywa się młodzieżowa premiera miesiąca pn. „Z filmem na ty”, podczas której prezentowane są każdorazowo dwa atrakcyjne filmy. Projekcje odbywają się przy pełnej widowni. Ta niewątpliwie ważna forma upowszechniania filmów jest możliwa dzięki osobistemu życzliwemu zaangażowaniu kierownika słupskich kin Pawła Wilińskiego.

— **Jakie bariery i trudności napotykaacie w swojej działalności?**

— Przede wszystkim nie mamy własnej sali kinowej. Przez cały czas korzystamy z gościnności TPPR. Seanse odbywają się w małej salce, nieprzystosowanej właściwie do wyświetlania filmów. Dostęp do najbardziej interesujących nas filmów jest utrudniony. Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów ma skromne zasoby. FilMOTEKA Polska natomiast obsługuje tylko te DKF-y, z którymi ma podpisane umowy. My takiej umowy nie zawarliśmy i praktycznie nie ma żadnej szansy, by do jej podpisania w najbliższym czasie doszło. Tak więc repertuar jest taki, jaki zdołamy sobie sami załatwić dzięki nieschematycznym i spontanicznym działaniom, osobistym kontaktom itp.

— **Pozwolisz, że spytam o finanse klubu?**

— Otrzymujemy dotację finansową z Zarządu Wojewódzkiego ZSMP, ponadto dochody tworzą składki członkowskie, sprzedaż karnetów oraz wpływy z młodzieżowej premiery miesiąca. Obecnie budżet jest wystarczający i pokrywa wszystkie koszty, ale nie zapewnia rozwoju.

— **Jaka jest więc przyszłość Waszego klubu?**

— Duże nadzieje wiążemy z oddaniem do użytku Młodzieżowego Centrum Kultury. Wreszcie będziemy mieli stałą i własną salę. Pragniemy systematycznie organizować seminaria i przeglądy filmowe szczególnie dla młodzieży szkolnej. Chcemy wprowadzić nową formę prezentacji filmów na videokasetach. Nasze aktualne działania zmierzają do zdobycia środków na zakup magnetowidu. Zamierzamy wypożyczać filmy bezpośrednio z ośrodków kultury państw socjalistycznych. Planujemy utworzenie Amatorskiego Klubu Filmowego, którego członkowie sami będą tworzyli krótkometrażowe filmy. Myślę, że niedaleka przyszłość przyniesie zdecydowaną zmianę na lepsze w działalności klubu. Nim jednak do tego dojdzie oczekujemy od władz kulturalnych miasta i województwa niezbędnej pomocy w realizacji planów.

— **Dziękuję za rozmowę i życzę spełnienia wszystkich zamierzeń.**

Razmawiał: STEFAN MILER

Troski i nadzieje

4 lutego br. w audytorium im. K. Szymanowskiego Warszawskiej Akademii Muzycznej odbyło się plenarne posiedzenie Narodowej Rady Kultury, poświęcone najistotniejszemu problemom życia muzycznego w Polsce oraz kwestiom związanym z zapewnieniem właściwych warunków dla rozwoju kultury muzycznej naszego społeczeństwa.

Obrodam przewodniczył prof. Bogdan Suchodolski.

Podstawę do dyskusji stworzyły wystąpienia Romualda Twardowskiego — przewodniczącego Zespołu Muzyki NRK oraz Janusza Cegiełły — przewodniczącego Zespołu ds. upowszechniania Muzyki NRK.

W pierwszym wystąpieniu R. Twardowski, znany w świecie muzycznym kompozytor stwierdził, że muzyka w naszym kraju ma dwa oblicza. Jedno — godne najwyższego uznania i powodów do dumy kreślą od lat powtarzające się sukcesy i osiągnięcia naszych twórców i wykonawców. Drugie — to codzienne, znacznie mniej barwne, określa wiele dokuczliwych problemów utrudniających i ograniczających możliwości działania instytucji, przedsiębiorstw i wydawnictw muzycznych.

Przemysł muzyczny w Polsce, na który składa się 7 fabryk państwowych, spółdzielnia pracy, 300 zakładów rzemieślniczych i centrala handlowa, wszedł w okres reformy gospodarczej z bazą całkowicie wyeksploatowaną. Wysokie obciążenia podatkowe, od lat nie rozwiązane kłopoty fonografii, stale rosnąca emigracja muzyków, brak koncepcji funkcjonowania impresariatów — to tylko część problemów, od których zależy życie muzyczne w kraju.

Omawiając dysproporcje między rozwiniętą siecią szkół muzycznych i filharmonii a systemem oświaty, Janusz Cegiełła skonstatował: — Zbudowano piękną salę koncertową dla całego kraju, utworzono znakomitą superorkiestrę, zaniedbano tylko wychowanie publiczności, która odczułaby potrzebę korzystania z koncertów. Te dwa rozbieżne działania w systemie kultury i oświaty doprowadzić musiały z upływem czasu do awarii pokoleniowej w dziedzinie umuzykalnienia społeczeństwa

i nawet najbardziej energiczne przeciwdziałanie, z którego konieczności wszyscy już w pełni zdają sobie sprawę, może przynieść pozytywne zmiany dopiero za 20 — 30 lat.

W kraju funkcjonuje 26 tys. przedszkoli, z których korzysta 1,5 mln dzieci, 15 tys. szkół podstawowych kształcących 4,5 mln dzieci, 879 szkół ogólnokształcących, w których uczy się 326 tys. młodzieży oraz 7 tys. szkół zawodowych z 1 mln 300 tys. uczniów. Tylko 20 procent szkół zatrudnia nauczycieli muzyki (ok. 5 tys.), z tego około 800 pedagogów ma wymagane kwalifikacje.

Oba te wystąpienia zostały wzbogacone wielogodzinna dyskusją, w której zabrali głos m. in. Włodzimierz Sokorski, doc. Tadeusz Niedzielski, prof. Piotr Perkowski, dyr. Jerzy Węcowski, prof. Andrzej Rakowski, Wiesław Myśliński, prof. Bogdan Suchodolski i inni.

W efekcie Rada przyjęła uchwałę, w której oceniając pozytywnie dotychczasowe działania Sejmu i Rządu w sferze prawnych regulacji zasad funkcjonowania instytucji artystycznych oraz placówek upowszechniania kultury, podkreśliła potrzebę konsekwentnego prowadzenia prac nad uregulowaniem dalszych kwestii, których rozwiązanie warunkuje realizację podstawowych celów polityki kulturalnej państwa w dziedzinie muzyki.

Zaapelowano do wszystkich resortów związanych z problemami upowszechniania, tworzenia i wykonywania sztuki muzycznej o znacznie większe zainteresowanie potrzebami szerokich kręgów odbiorców muzyki, twórców i wykonawców.

Do większej troski o poziom kultury muzycznej Rada wezwała resorty kultury i sztuki, oświaty i wychowania, nauki i szkolnictwa wyższego oraz Komitet ds. Radia i Telewizji.

Postulowano także zmianę systemu opodatkowania płyt i kaset z nagraniami muzyki klasycznej, zwiększenie produkcji krajowych instrumentów muzycznych, zorganizowanie liceów ogólnokształcących o profilu muzycznym, a także sześcioletnich studiów pedagogicznych, powołanie międzyresortowej Rady Edukacji Muzycznej oraz

podniesienie dotacji budżetowych na działalność dydaktyczną dla szkolnictwa artystycznego.

NRK uznała za celowe m. in. przyspieszenie działań związanych z powstaniem popularnego tygodnika muzycznego, dofinansowanie orkiestr i filharmonii zaangażowanych w upowszechnianie muzyki, stworzenie impresaryjnych fundacji, zajmującej się na zasadach niekomercyjnych promocją polskiej muzyki za granicą oraz rozwiązanie niektórych problemów materialno-bytowych środowiska muzycznego.

Wreszcie NRK uznała, że pilną staje się potrzeba dokonania ponownej analizy wniosków sformułowanych podczas pamiętnego Kongresu Upowszechniania Kultury Muzycznej w 1979 r., podczas kolejnych zjazdów muzycznych stowarzyszeń twórczych, Krajowej Narady Muzyków zorganizowanej przez KC PZPR w marcu 1985 s., zawartych w ekspertyzie „Podstawowe uwarunkowania dostępu dzieci i młodzieży do kultury muzycznej”, a także dotych-

czasowych opinii i stanowisk Narodowej Rady Kultury.

Analiza ta winna stanowić punkt wyjścia do niezwłocznego opracowania projektu programu reformy życia muzycznego w Polsce, programu o charakterze kompleksowym i ponadresortowym, który, uwzględniając realia obecnej sytuacji gospodarczej, powinien określać perspektywiczne warunki systematycznego i harmonijnego rozwoju wszystkich dziedzin życia muzycznego.

Zarówno uchwała jak i wnioski w niej zawarte, zgodnie z Ustawą o Narodowej Radzie Kultury zostały przedłużone prezesowi Rady Ministrów. Jakże będą dalsze jej losy, pokaże czas. Wypada nam wszystkim życzyć, aby nie spotkał jej los uchwały Kongresu Upowszechniania Kultury Muzycznej z 1979 r.

MIECZYSLAW JAROSZEWICZ
Członek Narodowej Rady Kultury

Recytatorski remanent

Impreza nie była dla nikogo zaskoczeniem — Ogólnopolski Konkurs Recytatorski odbywa się bowiem w tym roku już po raz 31. Ma więc za sobą niemałe tradycje i... zdawałoby się tyleż samo doświadczeń. Wojewódzkie eliminacje, które odbyły się w Słupsku każe zastanowić się nad kondycją amatorskiego ruchu recytatorskiego. Zestarzał się, czy przeżywa kryzys? (O tym, że sytuacja jest zła, można sądzić po konkursowych przesłuchaniach!). Refleksjami na temat konkursu recytatorskiego podzielili się z redakcją „Gryfa” uczestnicy imprezy.

ANTONI FRANCAK — dyrektor Wojewódzkiego Domu Kultury w Słupsku:

Sytuacja amatorskiego ruchu recytatorskiego w Słupsku jest bardzo zła. Dopóki w L. O. nr 1 przygotowywała Młodzież znakomita polonistka — Halina Sznigir, słupscy recytatorzy odnosili sukcesy. W tym roku ogólniaki nie wzięły udziału w imprezie. Myślę, że trzeba też powiedzieć

o niedoścignięciach organizacyjnych. Kiedyś Wojewódzki Dom Kultury organizował punkt konsultacyjny dla recytatorów. W tym roku żadna miejska placówka kulturalna nie objęła recytatorów opieką. Młodzież przychodzi do WDK. tzn., że zainteresowanie recytatorstwem nie ginie. Brak jednak życzliwego zainteresowania ze strony nauczycieli.

Przewodniczący Komisji Konkursowej — JAN WYRWAS, kierownik teatru „Dialog” w Koszalinie.

Podstawowy błąd zauważalny u uczestników konkursu to niezrozumienie roli recytatora, powodujące szkolne odtwarzanie, a nie interpretowanie tekstów. Poezja wymaga poszukiwań, scenicznych rozwiązań. Nie dostrzegłem tego w prezentacjach. Wielu recytatorów miało naturalne warunki i uzdolnienia. Nie zostały jednak wykorzystane, lub wręcz zniszczono je niewłaściwym doбором tekstów.

Fragmenty z Protokołu posiedzenia jury Wojewódzkich Eliminacji XXXI Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego:

W kategorii dorosłych przyznano:

I nagrodę — Zbigniewowi Sałkowi
II nagrodę — Kazimierzowi Łątkowskiemu
oraz wyróżnienie — Mirosławowi Kulisowi

W kategorii młodzieżowej nagrody otrzymują:

I — Marta Matusiewicz
II — Małgorzata Buerschel
III — Roma Krzaczkowska i Agnieszka Gronostaj
oraz wyróżnienia — Katarzyna Płotka i Dorota Wróblewska

W poezji śpiewanej nagrodzono:

I — Marka Kuleszę
II — Julitę Cwirko i Iwonę Trzcińską
wyróżniono: Joannę Rogalską i Iwonę Wesółowską.

Do turnieju międzywojewódzkiego zakwalifikowano: Martę Matusiewicz, Zbigniewa Sałkę i Marka Kuleszę.

Zwraca się uwagę na niższy, od lat ubiegłych, poziom artystyczny eliminacji wojewódzkich, na co składają się:
— niewłaściwy dobór repertuaru;
— brak troski o kulturę żywego słowa.

GRZEGORZ JANOWCZYK — instruktor teatralny z MDK w Człuchowie:

Rozmawialiśmy w Człuchwie o słabości ruchu recytatorskiego. Przyczyn jest wiele. Między innymi zmiana zainteresowań młodzieży, zmniejszenie się liczby uczniów w ogólniaku. Trudniej dziś wybrać recytatorów. A recytatorem trzeba być cały rok, nie tylko z okazji konkursu, bo trzeba pracować systematycznie i konsekwentnie. Zauważyła pani pewnie, że recytatorzy prezentują w konkursie szkolne lektury. Tak zrozumieli nauczyciele, ubiegłoroczny postulat jurorów o sięganie do tradycji literatury polskiej. Stąd w tym roku Kochanowski i Mickiewicz. Wyraźnie brakuje lekkiego repertuaru, a chciałoby posłuchać się dobrej satyry czy komicznego wiersza. Młodzież wybiera przygnębiające utwory o śmierci, żalobie, rozpacz. Dlaczego? Warto spytać.

CELINA GRZESIAK — instruktor teatralny Miejskiego Ośrodka Kultury w Lęborku:

W tym roku mieliśmy w Lęborku 42 recytatorów. Trzeba było w szkołach przeprowadzić eliminacje. Zainteresowanie młodzieży nie słabnie. Ten konkurs ma przecież bogate tradycje. Poziom był wysoki w latach, kiedy kuratorium egzekwowało od nauczycieli udział w imprezie. Ruch recytatorski nie może przypominać wyścigów. Tu nie może chodzić o wygraną, ale o wzbogacanie osobowości. Słuchałam prezentacji utworów Kochanowskiego i Mickiewicza. Sądzę, że to dla młodych już zbyt odległa problematyka, by mieli do niej serce. Byłaby ona ciekawa dla tych, którzy zobaczą w tej poezji siłę i urok polszczyzny. Takich jest niewiele. Młodzież wynosi ze szkoły nawyk interpretowania utworów w myśl schematu „co autor chciał przez to powiedzieć”... Efekty widać — brak zrozumienia tekstów.

Kryzys recytatorstwa bierze się z braku zainteresowania nauczycieli. Mam dowody na to, że dobry polonista zawsze skupi wokół siebie sporą grupę młodzieży recytującej. Musi jednak chcieć. Dlaczego młodzież wybiera tragedie?... Wstydzą się tekstów humorystycznych!... Niezwykle trudno otworzyć młodego człowieka na uśmiech! Woli on teksty łzawe i przygnębiające. Nie umiem odpowiedzieć, skąd się wzięły takie nastroje. Jeszcze przed kilku laty młodzież nie była tak sztywna w reakcjach na nastroje.

MAREK KULESZA — recytator z Debzyna:

Na eliminacjach znalazłem się dzięki życzliwej opiece przełożonego. Udział w imprezie jest dla mnie bardzo ważny. Po pierwsze — wiele tekstów, które tu usłyszałem jest mi bliskich. Po drugie — mam okazję pokonywać własną treść, dzięki bliskiemu kontaktowi z publicznością. Po trzecie — konkurs jest konfrontacją dokonania. Pozwala ocenić, co aktualnie dzieje się w poezji śpiewanej. Na terenie woj. śląskiego już nie będę brał udziału w eliminacjach, bo opuszczam je. Po powrocie do domu nadal będę prezentował poezję śpiewaną publiczności. Sprawia mi to przyjemność.

EUSTACHY BINDAS — nauczyciel ze Sławna:

Lubię pracować z recytatorami i to jest tajemnica wieloletnich kontaktów naszej młodzieży z dobrą poezją i prozą. Od 20 lat pracuję w ogólniaku. Zawsze byli u nas recytatorzy. To jest po prostu nieodzowny element mojej pracy nauczycielskiej, którego nie mam zamiaru zaniechać. Efekty same się rodzą, gdy sprzyja im systematyczna praca.

notowała: JOLANTA NITKOWSKA

Z DZIEJÓW ZIEMI POMORSKIEJ

O pieśniach Krofeya po raz drugi

URSZULA MĄCZKA

Mam przed sobą książkę Szymona Krofeya wypożyczoną z Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku.

Oto patrzę na okładkę śpiewnika pobudzającą moją ciekawość już samym tytułem: „Duchowne piesnie D. Marcina Luthera y ynŕich (inszych) naboznich mezw. Zniemieckiego w Sławiesky jezík wilozone przez Szymana Krofea sluge słowa Bżego w Bytowie. Drukowano w Gdainsku przez Jacuba Rhode. Roku Panskiego 1586”. Niezwykły, jakby umyślnie nagromadzonymi nieprawdopodobieństwami i zagadkami przykuwa uwagę. W treści nakładają się na siebie cechy różnych szczegółów i znaczeń. Już na wstępie książka wymaga zastanowienia się nad określeniem „w Sławiesky jezík wilozone” i jej relacją do Kaszubów ziemi bytowskiej, z którymi jest przecież ściśle związana i z której się wywodzi. Dialektyka odbioru prowokuje mnie do poszukiwania adekwatnej realności. Nie ulega wątpliwości, w procesie komunikacji autor przywołuje odległe odcinki naszej rzeczywistości pomorskiej.

I tu chcę zwrócić uwagę na pewien szczegół dość ważny, mianowicie na to, że Pomorze w średniowieczu nazywano po prostu Sławią (Sclavia, Scalavania, Sclavinia). W „Dziejach Królestwa Norwegii” nazwa Pomorza brzmi Slavia. Ta nazwa utrzymała się dość długo, zgadza się z naszą tradycją. Tym samym termin „Sławiesky” wprowadzony do obiegu przez Krofeya podkreśla, że jego sens odnosi się do dawnej rzeczywistości ziemi pomorskiej, dotyczy dziejów tej ziemi. Tak powstała pewna ciągłość, podkreślająca zarazem nawrót do pierwotnego chrześcijaństwa.

Odczytanie we właściwym świetle jest istotnym i niezbędnym warunkiem odpowiedniej percepcji tekstu. Często bowiem badacze piszą: *ten sławiesky język to mowa Kaszubów słowińskich*, co jest o-

czywiście irytującym absurdem. Takie opinie zawierają ograniczoną możliwość poznania. Niektórzy badacze zapewne sugerowali się klasyfikacją dialektów kaszubskich dokonaną przez F. Lorentza. Słusznie uważał L. Bądkowski kancjonał Krofeya za pierwszą wyraźną próbę tworzenia pomorskiego języka literackiego, jak również T. Bolduan podkreślając, że jest to druk polski z domieszką dialektyzmów kaszubskich charakterystycznych dla bytowskiego.

Godzi się zaznaczyć, że istnieją drobne różnice w regionalnych dialektach, gwarach, narzeczach, ale różnice te — według poglądu wielu badaczy — na pewno wówczas nie były większe. Zresztą językoznawcy zgodnie twierdzą, że w mowie Słowian zachodnich nie było większych różnic. Pragnę przytoczyć relację Adama bremeńskiego, który napisał: *Powiadają, że Słowiańszczyzna jest dziesięć razy większa niż nasza Saksonia, szczególnie jeżeliby się dorzuciło jako część Słowiańszczyzny Czechy i Polan, którzy są za Odrą, ponieważ ani obyczajem, ani mową nie różnią się między sobą*. Te lingwistyczne spostrzeżenia bremeńskiego kronikarza niemal sprzed tysięcy lat potwierdziła również nauka współczesna. Przypominam wypowiedź A. Brücknera z 1930 roku: *Zaden inny lud słowiński nie zna podobnej jednolitości mowy i nie naruszalności siedzib, jaką się polski słusnie szczyci*. Również w „Kołatajowskich Uwagach” czytamy: *Pomerania zamieszkaną jest przez lud Słowiński, który mówi po Polsku podług dialektu Kaszubskiego*. (Lipsk 1808 r.)

Tak więc dysponujemy wystarczającym zasobem wiadomości, aby wydobyć przejrzysty obraz odległych czasów.

Krofey poprzedził śpiewnik znamiennym zdaniem: *Dan w Bytowie na dzien Concordia, na ktorim D. Marcin Luther*

za 40 Lath pozbożnie ztego swiata skonał. Roku Panskiego M.D.LXXXVI. Kancjonał pisany był więc z myślą o 40. rocznicy śmierci wielkiego reformatora, lecz to chyba nie jedyny powód. Pisałam o tym, że na ziemi bytowskiej reformacja zdobyła pierwszych zwolenników już po 1526 roku w wyniku działań Bartłomieja Suawe, byłego kierownika rządu bytowskiego i późniejszego kanclerza książęcego. W latach 1545—49 piastował on stanowisko pierwszego protestanckiego biskupa kamińskiego. Z ramienia Bugenhagena — który kierował ruchem reformacyjnym na Pomorzu Zachodnim — wizytował miasta pomorskie. Po powrocie do Bytowa w 1549 roku przystąpił on do „ugruntowania” reformacji według zasady „ius reformandi”: „cujus est regio, illius et religio” — czyj kraj, tego wyznanie dla wszystkich poddanych. A wiadomo, że książęta pomorscy opowiedzieli się otwarcie po stronie reformacji w 1534 roku. Wszystkie te rozważania potwierdzają jednak fakt historycznie najważniejszy: Kościół na ziemi bytowskiej był placówką polską w całym tego słowa znaczeniu, miał jednoznacznie charakter polski i bezpośrednie związki z wielkim dziedzictwem polskiej kultury, chociaż kultura duchowa stanowiła tylko część rozlicznych powiązań. W artykule „Księga Kaszubów” wspomniałam o tym, że w początkowym okresie reformacji posługiwano się zarówno śpiewnikami polskim jak i polską biblią „Leopolity” w Bytowie. (Luther był zdania, iż tłumaczenie biblij jest zbędne, ponieważ nie upłynie 50 lat, a żaden człowiek nie będzie mówił „wendisch”).

Nowe stosunki kościelne zaistniały po soborze trydenckim (1545—1563), który wzmocnił również Kościół katolicki w Polsce przy pomocy zakonów jezuickich. Do Polski sprowadził jezuitów w 1564 roku główny promotor kontreformacji w Polsce — biskup chełmiński (później warmiński) Stanisław Hozjusz. Król Zygmunt uroczyście przyjął „Decreta Concilii Tridentini” i złożył oświadczenie na sejmie w 1565 roku, że pragnie żyć i umrzeć w wierze katolickiej.

Wracając do ziemi bytowskiej godzi się zaznaczyć, że po soborze trydenckim przystąpiono tutaj prawdopodobnie do wycofania polskich książek o treści liturgicznej — obawiając się „herezji” (przyp. słynne kazania Piotra Skargi z Poznania). W tym czasie również stosunek książąt pomorskich do Polski zmienił się na niekorzyść, ponieważ pozostali oni wierni reformacji. Na pochlebą wzmiankę zasługuje książę Barnim, który wówczas szczerze interesował się teologiczną stroną reformacji. Skło-

nił on również pastorów do szukania oparcia w elemencie rodzimej ludności Pomorza Zachodniego. Pastorzy posługiwali się więc nadal językiem miejscowej ludności, tzn. językiem polskim. Książka Krofeya doskonale mieści się w kaszubskiej tradycji, świadcząc o tym, że dialekt kaszubski nigdy nie był językiem liturgicznym. W kościele Kaszubi zawsze mówili „z wesoka” — polskim językiem literackim „po swojemu”. Zresztą w dialekcie kaszubskim brakowało Krofeyowi słownictwa i musiałby — chcąc nie chcąc — dokonać zapożyczeń.

Tak więc Krofey ograniczył się do za-barwienia tekstów gwarą kaszubską, pisząc teksty polskie z wymową kaszubską, tak jak czyta np. jeszoze dzisiaj senior mojej rodziny po polsku: litosc, radosc, réno, ojc itd. Takie właśnie formy językowe są zawarte w kancjonale i to nie tylko w pieśniach stricte polskich. To nie autor tłumaczy niemieckie teksty, lecz polskie teksty stymulują jego język. Krofey wykazuje duży talent posługując się strukturami otwartymi i zamkniętymi, które nie są ani sztuczne ani obce. Zwraca uwagę świetne uchwycenie kaszubskiej mentalności i stosunków panujących na ziemi kaszubskiej, przy czym autor nie narzucił sobie wysokiego progu trudności, rozwijając wątki myślowe. W ten sposób rozluźnił on przede wszystkim formalne rygory tekstów, a w dialektyce odbioru jest zawarty nasz stary — kaszubski ład. To jednak sprawia, że książka jest osobiście wielointerpretacyjna, chociaż nam — Kaszubom kosmos treści mówi wyraźnie, że sięga swymi korzeniami naszej gleby. To pejzaż naszych przeżyć sprzed 400 lat, któremu książka nadaje niemal swoisty kształt.

Czytałam tę książkę z ogromną wnikliwością i uwagą, pozwoliła mi ona zrozumieć bardzo wiele spraw, w jakie tamta epoka obfitowała. Dzisiaj po 400 latach jest rzeczą dosyć trudną odtworzyć różne szczegóły, ale pewne rzeczy, jak gdyby przez mgłę niektóre, a inne dosyć wyraźnie się uwypuklają. Co jest najważniejsze, co chcę podkreślić z naciskiem, to jest głównie element oddziaływania na wyobraźnię, na wrażliwość. Przeczytanie miało jeszcze jedno znaczenie w tym sensie, że historia pokazała się nie tylko poziomo, ale również pionowo. To znaczy, umiałam znaleźć powiązania między epoką sprzed 400 lat a moimi własnymi czasami: mianowicie język, który trafił przed moje oczy, dotyczy nie tylko dziejów tej ziemi, ale pozostał ten sam. Już we wstępie odnalażałam dobrze znany nastrój naszego świata, a podobny klimat wytwarzają

teksty w pieśniach. Kaszubskie słowa są dla mnie czymś dobrze znanym, opartym na rzeczach dostępnych zmysłowo, bliskim i wyraźnym. I to jest w książce Krofeya wyraźny przejaw oryginalności.

Z satysfakcją stwierdziłam, że autor obciążony jest mimo wszystko (wstęp mówi: z niemieckiego) skłonnością do źródeł polskich. Wyraźna zbieżność wykazuje „Magnificat” Krofeya z 1586 r. z treścią zawartą w „Zbiorze nawęcej u nas używanych pieśni kościelnych” Toruń, 1902:

Kancjonał z 1586 r.

*Wielbi Duszę moia Pané / y moy Duch
wiesely sie w Bogu zbawicielu moim.
Bo wezdrzał na pokore sluzebniczky
swoie / oto od tego czasu będą mnie
błoboslawily wszytke pokolenia.
Bo uczyniel przy mnie wielke rzeczy
(ktory mocny iesta) y święte imię iego.*

Zbiór pieśni z 1902 r.

*Wielbi dusza moja Pana: — i rizradował
się duch mój w Bogu Zbawicielu moim.
Iż wejrzał na pokorę sluzebnicy Swojej;
— oto bowiem odtąd błogostawioną mnie
zwać będą wszytkie narody.
Albowiem uczynił mi wielkie rzeczy,
który możny jest: — i święte Imię Jego.*
itd.

Takich przykładów można znaleźć sporo. O prawie identycznej treści są wszystkie psalmy, między innymi z numerem 127:

Kancjonał z 1586 r.

*Asz Bog Doi u nie zbuduie /
Proznie robią przy nim Mistrze /
Asz Bog Miastą nie ostrzeze /
Daremne sam wszytky stroze.*

Zbiór pieśni z 1902 r.

*Jeżeli domu sam Pan nie zbuduje,
— Daremnie nad nim rzemieślnik
pracuje;
— Jeżeli miasta Pan nie strzeże z góry,
— Próżno straż czujna opasuje mury.*
itd.

Nie ulega wątpliwości, że Krofey czerpie pełnymi garściami z polskich tekstów (m. in. Litania s. 86). Natomiast nie wikłając się w subtelności można przyjąć, że jest to język Kaszubów bytowych. W tekstach odnajduję ciągle siebie. Zdarzało mi się podczas lektury często stwierdzić, że pewien fragment coś mi przypomina. To przykład na to, że człowiek przy pomocy słów nie tylko poznaje, porozumiewa się, ale — pomijając wiele innych funkcji języka — otrzymuje obraz samego siebie, własnego świata. Autor odwołując się do swojskich i nośnych wyrazów, przywołał całą plejadę dobrze jeszcze dziś znanych słów w naszej gwarze, które powtarzają się jako stałe sposoby wysła-

wiania. Sądzę że przydałyby się objaśnienia niektórych oryginalnych wyrazów, co poprawia czytelność tekstów. Ponieważ w kancjonałach nazbierało się jednak sporo, wypada tutaj przywołać tylko niektóre: *ninia* (teraz), *pyczowan* (biczowany), *nie-uzdrzy* (nie ujrzy), *chocta* (choć), *nicht* (nikt), *chutnie* (szybko), *Barqk Jastrzny* (baranek wielkanocny), *cemne* (ciemne), *retować* (ratować), *dwierza* (drzwi), *gwisno* (silnie), *tuta* (tutaj), *midz* (między), *cwardy* (twardy), *westrzod* (wśród), *bretka* (oblubienica), *signie* (sięgnie), *sluince* (słońce), *oblek(t)* (ubrał), *klin* (łono), *strzot* (wśród), *szonuj* (oszczędzaj), *sano* (siano), *niezabył* (nie zapomniał), *myrzy* (gniewa), *barzo* (bardzo), *na to spusza* (polegać, zaufać), *dzielostały* (udział mieli), *bucha* (pycha), *kusznał* (złożył pocałunek), *ptach* (ptak), *ruchna* (szaty), *pleczny* (dumny), *pocesznik* (pocieszyciel), *Cierkiew* (kościół, zbór).

Warto zatrzymać się jeszcze przy ocalonym wyrazie „cerkiew”, który symbolizuje również nawrót do pierwotnego chrześcijaństwa na ziemi bytowskiej, zgodnie z tradycją kaszubską, która podaje, że istniały punkty styczne: Bizancjum — Polska — Pomorze w wyniku schizmy z 1054 roku, która oddzieliła od chrześcijaństwa rzymskiego Europę bałkańską i wschodnią. Było to prawdopodobnie za czasów Mieszka II (1025—1034), którego zięć, węgierski król-wicz Bela, pobierał przez okres 30 lat tzw. apanaż z naszej ziemi i zaprowadził tutaj również chrześcijaństwo.

Historycy są innego zdania, bo domniemane ślady przetrwały tylko w Bytowie i w Główczycach. Warto jednak przy okazji przypomnieć, że np. Irlandia, która już w 370 roku przyjęła chrzest, czekała prawie czterysta lat zanim sąsiadująca z nią Anglia przystąpiła do Kościoła rzymskiego. Również chrzest Mieszka I. nie był jednoznaczny z chrystianizacją kraju. Na długo przed Mieszkim — pisze Brückner — Polska pozostawała pod wpływem wsiekających powoli w jej organizm elementów chrześcijańskich. Podobnie jak na Morawach mogli w grodach polskich osiedlać się misjonarze.

Gdybym jeszcze kiedyś wracała do książki Krofeya, stanęłabym zapewne ponownie wobec wielu pytań pozostawionych dotychczas bez odpowiedzi. Rysuje mi się taka potrzeba uwzględniając dodatki odręczne w kancjonałach (aż 163 stronic!), dotyczące pracy edytorskiej innych pastorów kaszubskich. To one sprawiają, że książka posiada daleko bardziej złożone odniesienia niż to, co odkrywa druk.

TWÓRCY-AMATORZY

To są moje duszki

Dotrzeć do miejsca, w którym żyje i tworzy Kazimierz Kostka nie jest łatwo, mimo że wieś leży na trasie Słupsk — Ustka. Należałoby powrócić do szczudeł i wiszących mostów. Jedyna droga wiodąca przez las do wsi Mokrzyca, z chwilą wiosennych roztopów lub ciągłych opadów, staje się w wyniku wylewów rzeki Słupi niemożliwa do przebycia. Ci, którzy z konieczności przebywają tę trasę, nurzają się w gęstej mazi błota, kałuże tworzą ogromne zakola, których nie sposób ominąć. Mieszkańcy od wielu lat radzą sobie jak mogą: układają pseudokładki z bali drzew. Są wyprawdzie lampy uliczne, niczym słupy milowe, ale na tym prawie półtorakilometrowym odcinku paliły się tylko dwie, rzucając na okrasę nikle snoopy światła.

Artyści to specyficzna grupa, lubiąca cichy kąt, samotność, często nie zważająca na trudności, jakie niesie za sobą dzień powszedni. Kazimierz Kostka — rzeźbiarz amator, mieszkający tutaj od kilku miesięcy, stwierdził, że już przyzwyczaił się do „uroków” wsi, co nie znaczy, że je zaakceptował. Zamyka się w swojej pracowni i tam tworzy. Nie lubi mówić o sobie. Mówią o nim jego rzeźby.

— *One są mną, odzwierciedleniem moich myśli, przeżyć* — tak mówi o swoich pracach.

Zajmuje się rzeźbą, malarstwem, metaloplastyką. A początki sięgają roku 1953.

— Okres dzieciństwa — wtedy pojawiły się pierwsze zainteresowania artystyczne. Oczywiście była to forma zabawy.

— *Jesienią, gdy odbywały się wykopki* — wspomina Kazimierz Kostka — *wszyscy gromadnie pracowali w polu, ja gdzieś z boku lepiłem kopczyk mający kształt człowieka. Matka zawsze mówiła „lepił sobie mogiłki”. Pamiętam, jak przed pierwszą komunią zgubiłem modlitechnikę prababki, okropnie bałem się lania. Przez dwa tygodnie rozpacziałem i rzeźbiłem Chystrusa Ukrzyżowanego, przez cały czas myśląc, znajduję czy nie znajduję. Przygoda zakończy-*

ła się szczęśliwie, znalazłem, a miejsce, w którym ukrył się modlitechnikę uhonorowałem własnoręcznie wyrzeźbionym krzyżem.

Ta forma spędzania czasu, z patyczkami, nożykiem stała się dla niego swoistym antidotum, gdy nie powiodło się w szkole, w domu, brał narzędzia, kłoczek i dłubał. Tak pozostało do dzisiaj.

— Często rozmawiam z rzeźbami, wylewam żale, odkrywam przed nimi swoje wnętrze, rozładowuję się psychicznie, uspokajam. To są moje stworki, bardzo mądre, umiejące dochować tajemnicy. One nie milczą, zawsze odpowiadają na moje pytania. Są moimi strażnikami, duszkami.

W 1962 roku Kazimierz Kostka nawiązał kontakt z WDK w Słupsku. Nie zagrażał tam długo miejsca, nigdy nie lubił pracować pod dyktando. Nadal jednak współpracuje z Domem Kultury. Bierze udział w przeglądach, w plenerach amatorskich organizowanych przez WDK w Słupsku oraz Koszalinie. Ceni przede wszystkim plenery koszalińskie, które uczą, na które przyjeżdżają prelegenci. W Słupsku zaś spotkania ograniczają się w zasadzie do koleżeńskiej wymiany poglądów, praktycznie ci, którzy decydują się na uczestnictwo, niewiele z tego wynoszą.

— *Moja praca, to jednocześnie moje hobby* — powiada — *teraz zarządzam swoją pracownię. Zdarza się, że wstawiam niektóre prace do galerii. Ale tam najbardziej chodlibo są Chrystusiki, Madonny. Ja tego nie robię, gdyż taka praca nie sprawia mi satysfakcji. Biorę także udział w konkursach. O konkursach nigdy nie dowiaduję się z WDK, najczęściej z Zarządu Głównego Stowarzyszenia Twórców Ludowych. Dlaczego, do konkursów podchodzę niechętnie? Najprawdopodobniej dlatego, że narzucają one określony temat.*

Do rzeźbienia Kazimierz Kostka wykorzystuje każdy kawałek drewna, w każdym klocku, jak powiada, istnieje zaklęta rzeźba, niezależnie od kształtu, który potem jej nada. Nigdy nie używa sformułowania „pomysł na rzeźbę”, mówi o działaniu, przez które odkrywa twarz rzeźby. Materiał sam dyktuje temat, tu może zadziałać tylko wyobraźnia artysty.

— Powstają, bo muszą powstać — stwierdza. — Proszę zauważyć, te rzeźby są w zębie hipopotama, następne w rogu jelenia, nawet w rogu krowy. Z tych ostatnich powstał cykl „Krasnoludek”. Powstał zupełnie przypadkowo. W domu klucz był przypięty do rogu bydłęcego, ja w tym rogu zobaczyłem krasnalą i w ten sposób powstało ich kilka.

— W mojej pracy mobilizuje mnie często to, że nie mam materiału i dlatego między innymi w każdym kamieniu, kawałku drewna widzę dzieło sztuki. Zdarza się, że mam określoną koncepcję, przychodzę do pracowni, szukam odpowiedniego klocka i nagły krach, projekt przestaje mnie interesować.

O swoich sukcesach mówi z rezerwą. Nawet pada stwierdzenie, że nigdy nic nie osiągnął. Nie jest to dla niego sprawa najważniejsza.

— Jeżeli już mam mówić o nagrodach, to największą była dla mnie nagroda publiczności w Kramie 1980 organizowanym w Myślcu koło Starego Sącza. A druga nagroda to... niezwykle wydarzenie — wyklęcie przez klekę z ambony. Na plenerze zrobiłem Światowida i tę rzeźbę ustawiłem przed kościołem. Oczywiście

„cudo” to zostało usunięte przez wiernych i wyniesione za miasto.

Kazimierz Kostka brał udział w ogólnopolskich konkursach np. „Rodzina”, „Mikołaj Kopernik”. Miał swoje wystawy — w Szczecinku, w czasie Tygodnia Kultury Katolickiej w Słupsku. W tym roku zaproponowano mu prezentację dorobku w muzeum słupskim. W pracach artysty dominują tematy historyczne, marynistyczne, postaci z baśni i legend kaszubskich.

Oprowadzając mnie po jeszcze nie uporządkowanej pracowni stwierdza mimochodem, jakby mówił do swoich „stworów”.

To są moi przyjaciele, moi ludzie, których kocham. Wydaje mi się, że oni rozumieją mnie najlepiej.

Rozmawiała
ZDZISŁAWA ORŁOWSKA

Życie kulturalne - codzienne

MIROSLAWA MIRECKA

Nie wiem, czy był czas w powojennej rzeczywistości, kiedy kulturze wiodło się tak niejednoznacznie. Bo trudno powiedzieć, że kiepsko, skoro są warunki, by kultura abjawiała swoje różnorodne oblicza, nie krępowana gorsetem doktryn, w dodatku — dzięki środkom masowej komunikacji — tak szeroko, od stolicy do Pcinia Dolnego. Jednocześnie taka, na przykład poprzez telewizję, edukacja wytworzyła przekonanie, że jeśli już śpiewać, to nie gorzej niż Krystyna Giżowska i oglądać spektakl co najmniej z Gajosem, bo gdy wzrusza nas lub zachwyca coś poniżej artystów tej miary — pewnie jesteśmy prowincjonalni. „Obecnie zwykła dyskoteka nie jest żadną atrakcją — zwierzył się zakłopotany szef Osiedlowego Domu Kultury „Emka” w Słupsku. Młodzież żąda najnowszych hitów, wysokiej klasy aparatu-

tury, specjalnej oprawy”. Dzisiejszy dom kultury bez urządzeń wideo przestał być atrakcją dla współczesnego pokolenia, zafascynowanego magią wideoklipów.

Czy jednak to cała prawda o pragnieniach duchowych nasto-, dwudziesto- i trzydziestolatków — tej grupy obywateli, której uczestnictwo w kulturze ma znaczny wpływ na kształt życia ogółu? — Oczywiście nie. Lecz tak samo faktem jest, że placówki upowszechniania kultury zapełniają głównie dzieci i ludzie starsi. Nieliczne tylko oferty świetlic, domów i klubów kultury przyciągają pokolenie młodych. Najbardziej nieobecna w życiu kulturalnym grupa są ludzie w pełni sił produkcyjnych — pracujący w fabrykach, spółdzielniach, ale też na roli. Nad tym, jak do nich dotrzeć, czym zachęcić do uczestnictwa w kulturze zastanawiano się

podczas narady zwołanej przez wicewojewodę słupskiego Borysa Drobkę z pracownikami zakładowych placówek kultury i aktywistami związków zawodowych. W spotkaniu, zorganizowanym w siedzibie Domu Kultury Kolejarza uczestniczyli przedstawiciele Zakładu Obywia PZPS „Alka” w Słupsku, garbarni w Kępicach, Słupskich Fabryk Mebli, ODK „Emka”, Rejonu Przewozów Kolejowych, PGR w Sycewicach, Biesowicach i Charbrowie oraz SHR w Stowięcinie. Obecni byli także: dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki URzędu Wojewódzkiego Zenon Rupp, dyrektor Wojewódzkiego Domu Kultury Zbigniew Tałowski i przedstawiciel Wojewódzkiego Porozumienia Związków Zawodowych.

Jak wynikało z wystąpienia dyrektora Wydziału Kultury i Sztuki UW, reprezentowane były zakłady, gdzie działalność kulturalna w ogóle istnieje, a nawet w opinii władz zasługuje na wyróżnienie. Wiadomo, iż w latach wdrażania reformy gospodarczej na ogół zapomniano o kulturze, w wielu miejscach polikwidowano pomieszczenia i etaty przeznaczone niegdyś do działalności kulturalnej. tłumacząc się nierentownością i brakiem zainteresowania ze strony załogi. Aktualnie w województwie słupskim funkcjonuje: 7 zakładowych domów kultury, 25 klubów i 84 świetlice. Inną sprawą są treści i formy, jakie się tam proponuje. „Najlepszymi placówkami w naszym województwie, działającymi przy zakładach pracy, są Dom Kultury Kolejarza i Osiedlowy Dom Kultury „Emka” — powiedział dyrektor Rupp. Placówki te zatrudniają pracowników merytorycznych na etatach oraz instruktorów godzinowych. Program swój realizują w oparciu o współpracę ze środowiskiem, szkołami, organizacjami młodzieżowymi. Przy DKK „Kolejarz” działa Społeczna Rada Programowa, której celem jest przygotowanie propozycji kulturalnych zgodnie z życzeniami załogi, opiniowanie wyników finansowych DKK, organizowanie imprez własnych. Współpraca z przedsiębiorstwem polega także na organizowaniu plebiscytów: „Wybieramy kolejarza roku”, „Ludzie dobrej roboty”.

Faktycznie Dom Kultury Kolejarza od rana do godzin wieczornych tętni życiem. Gwarantuje to w dużej mierze doskonała znajomość środowiska, w którym placówka działa. Tutaj dewiza „zaspokajania potrzeb i zainteresowań odbiorców i uczestników” ma dosłowne zastosowanie. DKK nie organizuje imprez „w ciemno”, każda oferta jest trafiona, przygotowana na życzenie załogi PKP, dostosowana do oczekiwań ludzi w różnym wieku i o różnych zamiłowaniach. I chociaż model pracy DKK gdzie

indziej mógłby nie zdać egzaminu, na pewno więc ze środowiskiem jest sprawą godną naśladowania. Wówczas tylko można mówić o współuczestnictwie w działalności, jaką prowadzi dana placówka. Wtedy tylko tworzą się nowe własne wartości. Sukces „Emki”, jej wziętych ofert również trzeba zawdzięczać latom sondowania zainteresowań mieszkańców osiedla spółdzielczego, któremu służy ten dom kultury.

Z pewnością trudno by szukać podobnych wzorów działalności w zakładowych klubach czy świetlicach, zwłaszcza funkcjonujących w małych miejscowościach, ale też należy w ocenie przykładać inne miary. „Nasza działalność kulturalna — powiedział na spotkaniu przedstawiciel PGR w Charbrowie — to przede wszystkim zmiana oblicza wsi, stworzenie jej mieszkańcom godnych warunków życia i pracy. Zaczęliśmy od likwidacji śladów niemieczyny, wybudowaliśmy stadion, drogę, chodnik prowadzący do szkoły. Z czasem powstały zespoły, zaczęliśmy sprowadzać teatry, organizujemy własne turnieje i uroczystości. Nasze amatorskie zespoły nie mają sukcesów, pracują dla przyjemności, uświetniają nasze wewnętrzne festyny i uroczystości. W każdą sobotę i niedzielę coś się u nas dzieje. Latem ściągają na nasze imprezy także turyści z Łeby. U nas jest inaczej”.

Niestety, tam gdzie brakuje dobrych tradycji działalność kulturalna ogranicza się do okazjonalnych występów, sporadycznych imprez, które niewiele wnoszą w rozwój i integrację środowiska. W większości zakładów pracy województwa trzeba dopiero zaczynać, a to łączy się z ogromnymi w dzisiejszych czasach nakładami finansowymi. Wprawdzie nowa ustawa o upowszechnianiu kultury nakłada na zakłady pracy określone obowiązki, lecz trudna sytuacja ekonomiczna nie sprzyja wywiązywaniu się z nich. Brakuje ponadto ludzi, którzy chcieliby dźwigać zakładową kulturę. I znów główną kwestią są pieniądze, bowiem stawki wynagrodzeń są wręcz nieporównywalne. Liczenie zresztą na dobrą wolę dyrekcji i samorządów zakładów do niczego nie doprowadzi. Jedynym wyjściem jest ścisła symbioza placówek profesjonalnych kultury ze związkami zawodowymi, jak też stosowanie przez władze resortu kultury bardzo indywidualnych rozwiązań. Przecież niekoniecznie każda fabryka musi mieć własny dom kultury, jeśli dobrze będzie działała placówka ogólnowiejska czy miejska. Większej uwagi wymaga przede wszystkim rodzaj propozycji, dostosowanie ich do zainteresowań i czasu wolnego ludzi pracy, porozumienie faktyczne, nie tylko spisane na papierze.

Na szlakach brandenburskiej agresji

JÓZEF LINDMAJER

(12)

Upadek mocarstwowej Szwecji — od dawna wymarzony przez Hohenzolernów jako niezbędne intermezzo budowy ich własnej przewagi bałtyckiej — zaowocował daleko idącymi zmianami w dotychczasowym europejskim układzie sił. Piotr Wielki, zwycięskim mieczem z połtawskiej równiny, otworzył sobie bowiem szeroko bramę bałtycką, która mu dała bezpośredni dostęp do Europy. O trwałości i nienaruszalności swych nadbałtyckich zdobyczy wszechwładca Rosji jakby zapewniał panujące dwory europejskie budową nowej stolicy carów nad Newą, prowadzoną z rozmachem i z wyszukany smakiem.

Po tym nieprzewidzianym, po stronie pasywów, finale sztuki o wojnie i dyplomacji oddającej — zapisem pióra obiektywnie się kształtującej historii — komu innemu pierwsze miejsce wśród państw północnej Europy, musiał berliński monarcha przejść do wymuszonej tury modyfikacji i rewizji dotychczasowych niebywale ambitnych międzynarodowych planów swoich poprzedników. W nastroju pewnej frustracji zrodziła się u Fryderyka Wilhelma I alternatywa powetowania sobie wszelkich strat prestiżowych i innych domniemyanych terytorialnych kosztem Rzeczypospolitej. Ten władca, ostrożny z natury i z przekonania praktycznego zdobytego w wirze wydarzeń i konfliktów do 1720 roku — dzięki którym państwo bran-

denburskopruskie zawładnęło Szczecinem — prowadził raczej mało aktywną politykę zagraniczną, lansując głównie kokietowanie cara (np. kosztownymi prezentami) i forsowanie ściślejszych związków z tą Rosją, która wyraźnie ograniczyła nadbałtyckie i wschodnioeuropejskie aspiracje Berlina.

Negatywna postawa Rosji już wobec oficjalnych planów Fryderyka I zakładających rozbiór Polski, nie zniechęciła jego następcy przed recydywą tych zamysłów. Osaczanie polskiej ofiary przybrało kolejny wyższy stopień obłudnej sympatii i pychy życziwego sąsiada nie stroniącego od jawnych ingerencji w sprawy wewnętrzne Rzeczypospolitej. Z saskim władcą na zamku warszawskim, z Augustem II, poczynił sobie nowy król pruski Fryderyk Wilhelm I jak chciał i to od pierwszych dni po swojej nadzwyczaj skromnej ceremonii koronacji w 1713 roku.

Zaczęto od zacierania ostatnich śladów zapisów świadczących o formalnej wciąż zależności Prus Książących od Rzeczypospolitej. Sposobiący się do koronacji w Królewcu elektor brandenburski, wręcz skąpy, miał gest i nie szczędził zapewnień, iż i ta koronacja króla Prus w niczym nie ogranicza praw Polski do Prus Książących, a także nie podważa historycznego i publiczno-prawnego dokumentu mówiącego o obecności przedstawicieli Rze-
czy-

pospolitej podczas aktu hołdu stanów w Prusach Książęcych. W praktyce Fryderyk Wilhelm I odebrał hołd w 1714 roku bez udziału komisarzy króla polskiego... Władcy brandenburscy — jednocześnie królowie Prus — byli de iure lennikami Polski jeszcze do 1772 roku z tytułu starostwa łęborsko-bytowskiego.

Rozmiękczenie, od dawna już symbolicznego, przedpola północnego i północno-zachodniego, na którym toczyły się defensywne potyczki z naporem germańskim, były jedynie preludium coraz bardziej wrogich i zuchwałych tendencji antypolskich dyplomacji brandenbursko-pruskiej w ostatnich 10—15 latach patronowania polskiej scenie polityczno-państwowej przez Augusta II — króla wielu niedorzecznych systemów, owa personifikacja kwintesencji nieudolności w historii polskiej dyplomacji. Ten raczej fałszywy wielki człowiek — na płaszczyźnie owej wykładni — szukający po omacku samozadośćuczynienia dla swych eklektycznych przekonań i teorii, spowodował — otaczając się nadto — tchórzliwymi (choćby wyrafinowanymi) miernotami, że centrum państwowe nad Wisłą niczego się nie nauczyło na lekcjach klęsk i upokorzeń pobranych w dobie wielkiej wojny północnej (1700—1721).

Rozległa na europejskim niżu, Rzeczypospolita końca pierwszego ćwierćwiecza XVIII stulecia paradowała z piętnem wręcz zbrodniczej głupoty w okowach wielorakich surogatów zaściankowego ustroju feudalnego, w których ugruntowywała się stagnacja a następnie lawinowy rozkład instytucji państwowych, obronnych i ośrodków nowoczesnego życia gospodarczego w ubożających miastach, dobijanych z premedytacją m. in. magnacko-szlacheckimi przywilejami handlowymi. Polska pozostawała w intelektualnej izolacji i prawie że intelektualnej stagnacji „karmiąc się suchą strawą scholastyki i zwiędzłego humanizmu”.

Tymczasem państwa ościenne kończyły budowę scentralizowanych monarchii absolutnych. Zwłaszcza ze znamienym uporem i żelazną konse-

kwencją kończono taki front robót w Pruso-Brandenburgii, gdzie właśnie Fryderyk Wilhelm I zaczął korzystać z wszelkich prerogatyw prawa państwowego, jakże często nie stroniąc od bezgranicznego gardzenia swymi poddanymi. Cóż jednak oni znaczyli na tle zadań, roli i posłannictwa domu Hahenzollernów, państwa stanowiącego ich „przedsiębiorstwo rodzinne”; byli przecież pospolitym materiałem, przedmiotem i mięsem armatnim z apetytem pochłanianym przez coraz liczniejsze garnizony.

Rodzimi polscy szalbierze, którzy własnymi rękami kartkowali swoją przegraną i ich zagraniczni mocodawcy przyuczali Rzeczypospolitą do roli karła politycznego Europy. Już ewenement przebiegu sejmu „niemego” w 1717 roku kończył (przy pośrednictwie Rosji) kolejny etap smutnych, a niebezpiecznych polskich rywalizacji zagradzających ostatecznie drogę do sformułowania w Warszawie trwałych zasad dających supremację absolutystycznej władzy centralnej — owego antidotum, dzięki któremu właśnie sąsiedzi Polski wygrywali z nią wszelkie przetargi o przyszłowie miejsce pod słońcem.

Efektom braku zdolności przewidywania służących zmytgowaniu narodowego zadufania, rozbudzeniu twórczej świadomości politycznej poza ów zaklęty krąg pełen ludzi („potentatów ziemi, jakże ubogich politycznie”), którzy ośmielili się kierować polskimi sprawami państwowymi, było m. in. zredukowanie liczebności wojska, utrzymywanego dzięki stałym podatkom, do stanu zaledwie 24 000.

Takie improwizacje, fatalnego w swych skutkach pacyfizmu i antypaństwowego indywidualizmu szlachty i magnaterii polskiej, były wprost wymarzoną substratem dla bezwzględnie antypolskiej polityki Fryderyka Wilhelma I. Sojusz z Rosją od 1720 roku dawał mu gwarancję wielokierunkowej ingerencji w życie publicznopństwowe Rzeczypospolitej, oraz podejmowania wszelkich działań destrukcyjnych zapobiegających uchwaleniu i realizacji jakichkolwiek rodzimych koncepcji jej naprawy i umocnienia. Kuratela petersburs-

ko-berlińska została potwierdzona w odnawianych układach w latach 1726, 1729 i 1730.

Bezowocne dotąd próby strony pruskiej nakłonienia Rosji do zaboru przynajmniej części ziem państwa polskiego, zmusiły Fryderyka Wilhelma I do powrotu na tory polityki swego ojca. Okazało się, że jeden, jak i drugi, chętnie — bo za wygórowaną opłatą — gotowi byli usuwać dolegliwości Augusta II spowodowane chroniczną „gorączką tajemnych związków” politycznych, której się świadomie nabawił po to, aby mu tylko zapewniła trwałość korony polskiej i prawo następstwa. Tym razem (po 1720 roku) Fryderyk Wilhelm I chętnie przystał na przymierze z królem polskim, który przyrzekł mu Wielkopolskę i Kurlandię w zamian za obietnicę poparcia kandydatury syna Augusta II na tron warszawski. W swej zachłanności, król pruski gotów był nawet — aby dopiąć tego celu — wydać swą kilkunastoletnią córkę za Augusta II, już ponad pięćdziesięcioletniego i schorowanego człowieka, który wyeksploatował swoją żywiołową witalność, nadużywając jakże często nieobyczajności życia.

Pragmatyczny i realistycznie oceniający swoje szanse, Fryderyk Wilhelm I nie zaryzykował tworzenia faktów dokonanych u granic wschodnich swego państwa. Dlatego robił wymuszoną dobrą minę w stronę silniejszych sąsiadów Rzeczypospolitej i czekał cierpliwie „na dogodną chwilę urzeczywistnienia starego planu Hohenzollernów — połączenia Prus Wschodnich z resztą państwa. Nie zaniedbał w związku z tym żadnej okazji, by nie dopuścić do umocnienia wewnętrznego Rzeczypospolitej i przybliżyć moment jej agonii”.

Czułność, a następnie ożywienie dyplomacji prusko-brandenburskiej ujawniły się w pilnym studiowaniu aktualnego serwisu wiadomości pochodzących z Polski, przygotowującej się nieodwołalnie do kolejnej elekcji, która zmobilizowała „bezinteresownych rzeczników” opowiadających się za swoimi kandydatami. Król pruski przyjął w 1732 roku założenia (podpisanego dwa lata wcześniej) traktatu austriacko-rosyjskiego wykluczającego kandydaturę Stanisława Leszczyńskiego forsowanego przez Francję. Utworzony został związek „trzech czarnych orłów”, pilnie dotąd krążących nad nisko i wolno już szybującym białym orłem — coraz bardziej osamotnionym, słabym i bezwolnym w wielkich zawirowaniach burzy historii, jaką zbierali także polscy siewcy wiatru.

Nadchodziła epoka, w której Rzeczpos-

polita „nie stała rządem”, lecz rzekomą cnotą swoich obywateli. Kończyło się panowanie Augusta II; nie umocnił on państwa, nie uspokoił ludzi i polskiej sceny politycznej, nie ukrócił obcych rąk wyciągających się, spoza granicy zachodniej i północnej, po dobra terytorialne Rzeczypospolitej. August II „stał na bezdrożach przedostatniego aktu polskiego dramatu i nie potrafił mimo wielu wysiłków zapobiec klęsce kraju znajdującego się na skraju przepaści”.

W 1733 roku nastąpiła podwójna elekcja: Stanisława Leszczyńskiego (12 września) i protegowanego Rosji oraz Austrii, elektora saskiego Augusta III (5 października). Leszczyński — elekt większości — znalazł się przed obliczem realnej siły, wspieranych przez Austrię, interwencyjnych wojsk rosyjsko-saskich, które wkroczyły do Polski z pomocą Augustowi III. Uruchomiony został mechanizm, ustalonych przez trzy czarne orły, zasad nie kamuflowanej już niczym ingerencji w najżywotniejsze sprawy Polski. Wojna sukcesyjna polska, tj. wojna o tron polski, jaka toczyła się w latach 1733—1735 pod dyktando batalionów sąsiadów Rzeczypospolitej i dyplomacji odległej Francji, była kolejnym pretekstem do rozgrywek europejskich, w których Polskę traktowano instrumentalnie.

Władca brandenbursko-pruski nie brał bezpośredniego udziału w wydarzeniach polskich lat 1733—1735. Patronował, naturalnie, oficjalnie i otwarcie wszelkim poczynaniom swoich współpartnerów, licząc że wypędzenie Leszczyńskiego, zdławienie walczących w jego imieniu konfederatów i kreowanie przy pomocy obcych bagnetów kolejnego Wettyna na króla polskiego ostatecznie ubezwłasnowoli Rzeczypospolitą, że w końcu los ukarze ją totalną klęską rozproszonych wysiłków.

Wśród elity Rzeczypospolitej — tak jeszcze niedawno widzianej i ocenianej przez pryzmat wielkości europejskiego mocarstwa — wśród sobiepańskiej magnaterii i jej wasalnej szlachty brakować zaczęło w zastraszającym tempie jakichkolwiek innych motywacji do działań publiczno-państwowych niż sam „bieg życia”, lecz i tak już tylko pojmowany w aspekcie jednostkowo rozumianej intrygi, lub też — co najwyżej — ograniczony do kręgu potrzeb klienteli własnego dworu, czy swego państwa-latifundium. Przejaw to pospolitego warcholstwa, czy coraz bardziej powszechniejszego i utrwalającego się rodzimego, wprost antypolskiego, antypaństwowego szaleństwa?

JS JERZY STACHURSKI

Przypowieść

Przyszedłeś wyznać tajemnicę ziemi
którą utwardziła pieczęć mowy
W trzecim dniu tygodnia przyniosłeś światło
By rozpogodzić pochyłość drogi
I wytropić wiarę.

Oto jest przyczyna
By korzenie wiązać w ziemi głęboko
Aż do ciężaru
Wypełniającego każde pragnienie
Kiedy szeroko otwierasz oczy.
A więc stałeś się znakiem horyzontu
Stojącego na straży pomyślności
Gdy miarę czasu oczyszczasz ogniem
I nic wtedy nie przetrnie luster pamięci
Jeżeli jej przestrzeń zastonisz wysokimi drzewami
Albo innym dniem tygodnia.

Oto czas budowania
Jakby ktoś podpowiadał kształt domu
Jakby przedzierał się z odzyskaną pamięcią
Śmiertelną w każdej porze zimy
I nakreślał gniazdo
Na podobieństwo ptaków
Stąd ta pewność
Ze naczynie piorunów
Nie zagasi żyjącej obok mądrości
Bo któż z nas mógłby trwać
Bez twojego drogowskazu.

Uczyniłeś ten związek na oczach tych
którzy wiedli spór
I niechaj teraz powstaną
By umiść z ostu lenistwa

* * *

co mamy w sobie głęboko i podziemnie
co się w wierszu wygładza dotąd
nim wiatr to złamie
jak drzewo które skryła lat pierzyna

zastuchany w to co za drzwiami
co jeszcze wymyka się jak z dłoni
ale już prowadzi na przeludnioną wyspę tęsknoty
nie wiem czy to dla ciebie jest ważne więc poczekajmy
i nadal pozostanmy w tym samym miejscu bo
nie wiemy co zostanie a co odejdzie
co będzie w liczbie mnogiej a co w pojedynczej gdy
u ciebie i u mnie wszystko się przewali czy będziemy odważnie
czekali
lepiej już teraz ustawmy się na końcu kolejki swojego sumienia

a może nie bądzmy tacy cisi
zasmakujmy do białości zerwany owoc a może
uczyć się trzeba czuwania na wielkiej wodzie
by nurt nas nie porwał gdy drzwi zatrzasną

a wszystko zaczyna się wtedy
kiedy listy mówią prawdę
a wszystko kończy się wtedy
gdy listy są tylko wymienialną monetą
na nowy sezon miłości

By wyjść z osła tenistę
Niechaj doświadczają jasność wysokiego lootu
Bo z niego wynika przyczyna owoców
Bo z niego odpuszczenie winy
Tylko wtedy dajesz prawo
Otaczania cię miłością
I przyznajesz rację tym
którzy przeszli granice owoców
I nie wiem czy ich przebudzenie jest radarem
Wiodącym mnie do cichej przystani twojego serca
które rozpala szlak rzeczy powszednich
I podpira sklepienie myśli.

Ty stałeś się celem rzeki
Jej obraz
Mówił do ciebie
Słowem wznoszonym pod obronę mądrości
która uczyła się czynić dobro
Słuchaj zatem tej tkliwości
I ogarniaj przebaczeniem
Tych co doszli do źródeł
I wyzwolili się z innego celu drogi
Twoje światło skrzydeł
Niech ono wszystkich naprowadza na tę północ wiary
Aby nie przeklinali ugorów
Przez dni roku przypominane
Aby mogli zdejmować z owocu troski pocieszenia.

Zabieramy od bliźnich
Ich błogosławieństwo drogi
I nie zaznając odpoczynku
Z każdym dniem przybliżamy się do nadziei
która by dała nam dość wytchnienia
Bowiemy wszystko przemieni się w przeznaczenie
Byśmy ofiarowali innym to
Co dotykami określiła radość

Mimo że jest rzeczą kruchą
Daje światło głosem
Bo radość uskrzydlić trzeba zawsze do godności prawa.
Więc takim posił nas chlebem
Na dalszą drogę
A odwróci się od nas każda marność.

To stało się wtedy
Gdy poczęły się w nas zwątpienia
I mimo że wiosną swoich skrzydeł
Doświadczaliście nam czułości
Niewielu na trwałe zapaliło w sobie prawdy
które opisałeś swoim przyjściem.

Oczekiwanie na jesień

Wiatr tak głęboko stoczył się za wzgórze
że zapomniała o nim jesień całkiem
a z jarzębiny czerwien kapie tak jak deszcz
z grotem żalu celnie wbitym w serce

Rano pośpiesznie podniosłem poemat
i uprzątnąłem metafor buki
nic nie wiem — ani z której strony
jesień mnie szarpnie za włosy

I rzeczywiście moje sprawy
zostały za wzgórzem twojego imienia

* * *

samemu nie udźwigniesz życia
a jedne buty to za mało
droga biegnie dalej
więc przymierzamy się razem
jak do nowych ubrań
i bierzemy jego czystą kartkę
i piszemy — litera przy literze
a czas ułoży zdanie
że to my byliśmy

Z ŻYCIA WZIĘTE...

Codziennosc

Wymarzone i od dawna wyczekiwane mieszkanie Aldony wygląda nieco dziwnie. Byle co wisi w oknach, wszędzie leżą jakieś paczki i paki, duży pokój straszypustką.

Ona sama miota się między kuchnią a pokojami przewijając Tomaszka, karmiąc Olę i gotując obiad na dzień następny.

Odkąd sięgnąć pamięcią, Aldona nigdy nie miała żadnych innych obowiązków poza nauką. — *Jak chcesz do czegoś dojść, musisz się uczyć. To cała twoja przyszłość* — mawiali jej rodzice. Sami żyjąc z pracy własnych rąk (matka — robotnica w fabryce, ojciec — krawiec) widzieli przyszłość swych dzieci w uzyskaniu tytułu magistra czy inżyniera. A kiedy Aldona jako kierunek studiów obrała resocjalizację, byli nieco zawiedzeni. — *No wiesz, będziesz całe życie użerała się z jakimiś degeneratami* — stwierdził ojciec, gdy zakomunikowała swoją decyzję. Ostatecznie jednak indeks córki, a potem syna (Politechnika Warszawska) przyjęli jako sukces.

Pierwsze konflikty w życiu Aldony zaczęły się od momentu, gdy wyszła za mąż za Krzyśka. Początkowo rodzice akceptowali związek córki — Krzysiek nie pił, był zaradny, poważnie patrzył w przyszłość. Jako mechanik samochodowy miał niezły zawód, który gwarantował młodej rodzinie utrzymanie na przyzwoitym poziomie. No i był bardzo zakochany.

Od razu młodzi twardo zapowiedzieli, że wynajmą pokój i zamieszkają oddzielnie. Na spółdzielcze mieszkanie musieli czekać jeszcze kilka lat, choć Krzysiek od 18 roku życia należał do spółdzielni. Zanim jednak tak na dobre zaczęli szukać jakiegoś lokum, okazało się, że Aldona spodziewa się dziecka i pieniądze przeznaczone na opłacenie pokoju trzeba raczej przeznaczyć na dziecięce łaski, łódeczko i wózek niż na samodzielne życie we dwoje.

Początkowo młode małżeństwo zamieszkało osobno, a pierwsze dwa miesiące wspólnego życia Aldony z mężem upłynęły następująco: po skończeniu zajęć Aldona jechała do centrum Słupska i tam, na przykład pod Sienkiewiczem czekała na Krzyśka. Potem szli do kina, do znajomych, w ostateczności wędrowali po sklepach, by wieczorem rozjechać się w dwie różne strony miasta — ona aż za Słupsk pod Ryczewo, on w okolice WSP. Tak naprawdę razem po ślubie byli ze sobą dwa tygodnie w Mikołajkach na wczasach, które udało się załatwić przez wspólną znajomą.

W październiku brat Aldony wyjechał na uczelnię do Warszawy i wtedy rodzice zdecydowali, że skoro ma być dziecko, niech młodzi zamieszkają u nich. Matka Aldony przeniosła się do męzowskiej pracowni. Krzysiek ulokował swe ubrania w szafie teściów, w łazience powiesił swój ręcznik, przed domem postawił kupionego jeszcze za uskładane kawalerskie pieniądze „malucha” i na tym skończyła się cała przeprowadzka. O żadnych nowych meblach nie było co marzyć. Po pierwsze — gdzie je mieli wstawić? a po drugie — rodzice Aldony orzekli, że mieszkanie jest ich i niech młodzi nie myślą, że będą mogli zrobić z niego magazyn swoich rzeczy.

Zaczęło się więc życie we czwórce pod jednym dachem. — *Na początku — przyznaje sama Aldona — wszyscy starali się, żeby jakoś się układało. Wspólne obiady, oglądanie telewizji, wspólni goście. Tyle tylko że Aldona i Krzysiek nigdy nie byli sami, nigdy nie czuli się jak u siebie w domu. Matka nie pozwalała Aldonie gotować — i tak nie potrafisz — mówiła — a zresztą teraz musisz na siebie uważać. Krzysiek po pracy nie mógł położyć się na tapczanie — spać trzeba w nocy, a nie w dzień. Każdy by tak chciał się wylegiwać —* perorował teść. Coraz bardziej denerwował go zięć, który z natury był mrukiem i nie lubił wdawać się w żadne pogawędki, za którymi wprost przepadał ojciec Aldony. — *Z tego twojego męża to nic już nie da się wykrzesać — mawiał do córki — tylko rzeźbi i rzeźbi, zamiast chwilkę ze mną porozmawiać.*

Do dziś rzeźbienie jest największą pasją Krzyśka. Byle drewnenko, a w jego rękach nabiera kształtu, subtelności. Wystarczy kilka pociągnięć nożem, a przekształca się w ledwo zarysowaną główkę dziecka, świątko z długą brodą, twarz starca pooraną zmarszczkami.

Początkowo Aldona udawała, że niczego nie dostrzega: zaciętych na widok Krzyśka ust matki, braku odpowiedzi na jego „dobry wieczór”, gdy wracali wieczorem do domu, gniewnie rzucanych obok talerza łyżki i widelca, kąśliwych uwag ojca. Pochłaniała ją mające się urodzić dziecko i ono było najważniejsze. Burza, jak zwykle w takich wypadkach, rozpętała się bez żadnego istotnego powodu. Wystarczył pretekst. Chodziło o zwykłą różnicę zdań. Pierwsza wygłosiła opinię na temat zięcia matka, nie bacząc na stan córki. Każdy drobiazg urósł do rangi problemu wielkiego jak góra. Policzono każde wejście na dywan w butach, każdą za głośno nastawioną płytę, każdy nie pozmywany po sobie talerz. Kilkakrotnie padła uwaga na temat wykształcenia Krzyśka („ona magister, a tu taki prostak”). Aldona z przerażeniem patrzyła na wykrzywione twarze rodziców wykrzykujących jakieś banały o kulturalnym sposobie bycia, wzajemnym szacunku, poszanowaniu cudzych poglądów, patrzyła na bladego jak ściana Krzyśka. Wyrok był srogi: *Aldona oczywiście może zostać u rodziców a Krzysiek niech się wynosi. Jeżeli nie umie się dostosować do warunków życia u teściów, to niech mieszka bez żony.*

Ola urodziła się gdy jej rodzice znów spotykali się pod Sienkiewiczem. Zanim Aldona nauczyła się kochać swą małą córeczkę, nauczyła się o nią dbać.

Ola rodziła się ponad dwie doby i ostatecznie skończyło się na porodzie kleszczowym, bardzo niebezpiecznym dla dziecka. A gdy wreszcie wydawało się, że wszystko jest w porządku, noworodek zaczął sinieć, słabnąć, nastąpiła śmierć kliniczna. Aldona do dziś pamięta ten moment, gdy stała przed wejściem na oddział niemowlęcy

i zaciskała pięści licząc powoli: jeden... dwa... trzy... cztery... do dziesięciu. I od początku jeden... dwa... trzy. Za drzwiami Ola poddawana była reanimacji.

Jedna z pielęgniarek powiedziała Aldonie w zaufaniu, że stan zdrowia dziecka był efektem ewidentnego zaniedbania.

Pojawienie się Oli na świecie wyraźnie poprawiło nastroje w rodzinie. Dziadkowie do tego stopnia byli oczarowani wnuczką, że jakby zaakceptowali zięcia, który od momentu powrotu Aldony ze szpitala codziennie zaczął bywać w domu teściów. Nie było wprawdzie mowy, by z powrotem zamieszkał z żoną, ale tolerowano jego obecność.

Wtedy to Aldona zdecydowała się przenieść do teściów. Już wiedziała, czym grozi pozorna akceptacja matki i niby serdeczność ojca. Wolała ciasnotę niż ponowne awantury. — *U teściów nie żyło się nam źle* — wspomina — *mimo że ojciec nie zawsze był trzeźwy, a matka zaharowywała się na śmierć, żeby jako tako związać koniec z końcem. Byli jednak od początku szczerzy i jeśli mieli jakieś żale do nas, załatwialiśmy to od ręki, bez tych dąsów, milczenia, zapiekłej urazy jak u mnie w domu. Teściowa pracowała, więc nie miała czasu ingerować we wszystko, co dotyczyło wnuczki, z kolei gdy prosiłam ją o radę, chętnie dzieliła się swoimi doświadczeniami.*

Nie trwało to długo. Na wiosnę, gdy Ola skończyła pół roku, ojciec Krzyska zachorował i okazało się, że to coś z płucami. Lekarz zawyrokował: trzeba odseparować dziecko.

Z powrotem przeniosła się na Ryczewo. O dziwo, sami rodzice zdecydowali, że lepiej będzie, jeśli tym razem zamieszka i Krzysiek, którego ciągły kontakt z chorym ojcem mógłby odbić się z kolei na Aldonie i małej.

Od tych drugich przenosin Aldona zaczęła czekać na własne mieszkanie, jak na zbawienie — byle dalej, byle jeden dzień do przodu, byle wreszcie pójść na swoje.

Gdy wreszcie wiadomo było nawet, w którym bloku mają zamieszkać i na którym piętrze, Aldona zorientowała się, że znów jest w ciąży. W tym czasie rozpoczęła pracę jako wychowawczyni w internacie.

Wiadomość o dziecku nikogo specjalnie nie ucieszyła. — *No tak, tak* — kiwali rodzice głowami, jakby zdarzyło się jakieś nieszczęście — *jak się już wyszło za mąż... Jeden Krzysiek pocieszał Aldonę, że wszystko się ułoży.*

Rzeczywiście się ułożyło, bo musiało.

— *Śmiać mi się chce* — opowiada Aldona — *gdy przypomnę sobie początki mojego oczekiwania na Olę (jeszcze przed awanturą): biegająca wokół mnie matka, ojciec przynoszący łakocie, Krzysiek chodzący na palcach, gdy spałam. Gdy na świat miał przyjść Tomaszek, co drugi dzień do samego porodu biegałam do internatu na tzw. ranki, by za godzinę jechać z powrotem do Oli i jeszcze raz po południu wracać do pracy. Co drugą sobotę i niedzielę byłam zajęta. Gdy okazało się, że mam kiepską morfologię i jakieś kłopoty z czerwonymi ciątkami, codziennie tartałam sobie marchew, z której wypijałam sok do spółki z Olą. Nie pamiętam wieczoru, bym spóźniła się na kąpiel dziecka, ani spaceru, z którego nie gnałam na łeb, na szyję do domu (choć Ola powinna zostać jeszcze na powietrzu), bo spieszyłam się do pracy na popołudniowe zajęcia. Byłam tak zaabsorbowana swoimi*

obowiązkami, że nawet nie zwracałam uwagi na atmosferę w domu: na to, że Ola nadmiernie rozpieszczana przez dziadków staje się niezdolnym dzieckiem, a Krzysiek woli dłużyć w samochodzie niż siedzieć w domu.

Gdy Aldona z Krzyskiem wyprowadzili się na osiedle Budowniczych Polski Ludowej, Tomaszek miał siedem miesięcy. W trzech pokojach nowego mieszkania stały dwa łóżeczka dzieci, tapczan rodziców (kupiony jeszcze zanim urodziła się Ola i przechowywany na strychu u koleżanki) i szafki kuchenne, które Krzysiek zrobił własnoręcznie.

Więcej nic nie było, poza książeczką oszczędnościową, na którą co miesiąc odkładano część pensji Krzyska w nadziei na „lepsze czasy”. Teraz za te uskładane 140 tysięcy nie bardzo jest co kupić. Ostatecznie, można by spróbować, tylko kto będzie po to stał? Aldona jest na urlopie wychowawczym, ale nie ma z kim zostawić dzieci. Krzysiek nie jest w stanie wyrwać się z pracy — pracuje prywatnie w warsztacie samochodowym i jego pryncypał niechętnie patrzy na tego typu wychodzenie. Zresztą każdy przestój odbija się na kieszeni Krzyska, którego zarobki stanowią podstawę rodzinnego budżetu.

Z daleka wygląda tak, że przez pięć lat małżeństwa, Aldona z Krzyskiem dorobili się... dwójki dzieci. I tak jest naprawdę, choć przynajmniej Aldona starała się inwestować w różne drobne przedmioty codziennego użytku, które teraz w nowym gospodarstwie są jak znalazł. Odkurzacz, pralka (choć nieautomatyczna), sokowirówka, robot kuchenny — nie sposób teraz tego dostać. Najważniejsze jest to, co dotyczy dzieci — one muszą dostać jedzenie na czas, muszą chodzić czyste. Ona sama przestała mieć jakiekolwiek potrzeby, nawet trudno jej wziąć jakąś książkę do ręki, a Krzysiek...? Aldona niewiele dzisiaj wie o swoim mężu, chyba tylko tyle, że zupy pomidorowej z ryżem nie cierpi, a lubi z kluskami...

— Wiesz — snuje Aldona swą opowieść w kolejnych przerwach między karmieniem Tomaszka a zabawianiem Oli — mam 27 lat, a czuję się bardzo staro i tak, jakby już nic dobrego nie miało mnie spotkać w życiu. Tak gwałtownie, niemal rozpaczliwie czekałam na to mieszkanie, że teraz, gdy je mam, przestało mnie cieszyć. Na dodatek po drodze podziato się gdzieś to wszystko, co było na początku między mną a Krzyskiem — ta nadzieja, że razem zawojujemy świat, będziemy żyć inaczej niż wszyscy, że nie damy się wciągnąć w pułapkę wiecznych utarczek i mini-problemów. Sporo zaprzepaściłam ja sama, wtedy w domu rodziców, nie stając wyraźnie po jego stronie. Może byłoby inaczej, gdybyśmy od razu mogli pójść na swoje. Gdyby...!

Krzysiek i Aldona dostali mieszkanie w pięć lat po ślubie, stosunkowo więc szybko, jeśli nie brać pod uwagę całego członkowskiego stażu Krzyska, który trwał 14 lat. Brat Aldony (książeczka z pełnym wkładem również od 18 roku życia) po studiach wrócił do Słupska z żoną (anglistka) i po przeprowadzce siostry zamieszkał u rodziców.

Póki co, jak to określa Aldona, w domu rodziców panuje „sielanka”: wspólne cbiady, popołudnia, wspólni goście. Ojciec wieczorem zabawia synową pogawędką, a matka parzy herbatę...

BOŻENA JAKIMOWICZ

„Piłsudski” i „Batory”

M. W. WACHNIEWSKI

Od końca lat dwudziestych naszego wieku zaczęły wchodzić do służby pod flagami znanych armatorów statki, które po latach określano mianem „złotej serii”. Pierwszymi transatlantykami złotej serii były sławne liniowce z Bremy — BREMEN i EUROPA. Nasz armator pasażerski, PTTO później GAL, jest rówieśnikiem „złoty” statków.

Obecność na Atlantyku polskie statki zaakcentowały po raz pierwszy w 1930 roku — były to trzy stare, dwukominowe, małe parowce: POLONIA, PUŁASKI i KOŚCIUSZKO. Bardzo szybko okazały się niewystarczające na linii nowojorskiej, nie darmo zwanej oknem wystawowym żeglugi. Po wprowadzeniu przez władze amerykańskie limitu liczby imigrantów do USA, co nastąpiło w 1934 r., polski armator znalazł się nagle w bardzo trudnej sytuacji. Jego stare statki nie mogły zadowolić turystów tak, jak zadowalały emigrantów i pojawiła się konieczność zmiany statków, zbudowania nowych i nowoczesnych transatlantyków specjalnie dla linii nowojorskiej.

Z kilku złożonych przez obce stocznie ofert uwzględniono w biurze armatora dwie: duńską stocznę w Nakskov oraz włoską CRDA, stocznę z Monfalcone. Ta druga była tańsza i ją ostatecznie wybrano do realizacji. Umowę ze stoczną włoską podpisano 29 listopada 1933 roku. Cenę za obydwa statki ustalono, po komplikacjach i po postępowaniu arbitrażowym, na poziomie ok. 2 milionów dolarów. Wpłacono 10 proc. tej sumy, resztę miano spłacić w ciągu 6 lat w dwunastu ratach, częściowo spłacono należność dostawami polskiego węgla dla kolei włoskich. Sprawy spłaty należności za oba motorowce ciągnęły się długo i ostatecznie uregulowane zostały dopiero po wojnie.

Stocznia oparła projekt nowych statków

na nieco wcześniejszej dacie włoskim liniowcu VICTORIA, transatlantyku niedużym, ale bardzo nowoczesnym technicznie i dobrze zaprojektowanym architektonicznie.

Budowę pierwszego z dwóch statków rozpoczęto 1 marca 1934 roku. Drugą stępkę położono 1 maja 1934 r. Projekt przewidywał budowę dwóch czternastotysięczników motorowych, z których każdy napędzany miał być dwoma silnikami Sulzera — miało to zapewnić każdemu ze statków prędkość podróżną 18 węzłów. Stosownie do wymagań Polonii amerykańskiej, statki miały być dwuklasowcami z klasą turystyczną i III oraz miejscami dla ok. 770 pasażerów każdy.

Po z górą dziewięciu miesiącach, 19 grudnia 1934 roku, uroczyście wodowano pierwszy statek. Otrzymał on imię PIŁSUDSKI. Pierwszym — i jak się okazało, jedynym — kapitanem tego liniowca został kpt. M. Stankiewicz, słynny „Znaczy — Kapitan”, jeden z kilku braci Stankiewiczów, niegdyś dowódca „Lwowa” i „Polonii”. Wyjechał on do stoczni, by na miejscu objąć nadzór nad wyposażeniem powstającego transatlantyku.

Drugi statek otrzymał w dniu 3 lipca 1935 roku imię króla Stefana BATOREGO. Nadała mu je Jadwiga Barthel de Weydenthal, znana działaczka społeczna i niepodległościowa w Polsce okresu międzywojennego.

22 sierpnia 1935 roku m/s PIŁSUDSKI odebrany został ze stoczni. Na próbach statek rozwinął prawie dwa węzły więcej od założonych 20 węzłów. Prezentował się doskonale; miał 14,294 BRT, 160,4 m. długości całkowitej i 21,6 m szerokości maksymalnej. Oparty na projekcie znanego architekta włoskiego, Pulitzera — Finale, m/s Piłsudski odznaczał się bardzo ładną,

harmonijną sylwetą o dwóch kominach, dwóch masztach, czarnym kadłubie z kielichową dziobnicą i krążowniczą rufą. Miał siedem pokładów, z czego trzy w nadbudowie. Mógł przyjąć ogółem 773 pasażerów i około 300 osób załogi.

12 września 1935 roku Gdynia witała uroczystie nowy transatlantyk — dumę GAL-u. Statek przybył do swego macierzystego portu po podróży dookoła Europy, z wycieczką polskich turystów na pokładzie. Po trzech dniach ruszył po raz pierwszy do Nowego Jorku.

Miejscowa Polonia zgotowała mu przyjęcie nadzwyczaj serdeczne, zresztą port nowojorski w ogóle znany jest z tego, że wita entuzjastycznie każdy zawijający tam po raz pierwszy statek. Bankiety i bale na pokładzie nowego liniowca i w mieście, zwiedzanie pomieszczeń PIŁSUDSKIEGO, oczywiście ogolenie statku z drobnych przedmiotów, zabieranych przez publiczność na pamiątkę — oto najbardziej serdeczne, sympatyczne akcenty tego powitania. Nowy transatlantyk, lubo bez szans w konkurencji z „Normandie” czy „Rexem”, zyskał od razu swoją klientelę.

Atlantyk jednak nie przepuścił nowemu statkowi. W drugiej podróży PIŁSUDSKI, płynąc na zachód, natrafił na silny sztorm. Neptun srocie poturbował transatlantyk, obnażając przy okazji jego wady. Okazało się, że chluba GAL-u jest niespecjalnie stateczna, a przede wszystkim za słabo zbudowana. „Neptunowe stukanie” wybiło na statku szyby w przedniej ścianie nadbudówki, a masy wody wgniotły pokład na dziobie przeszło o stopę. Do tego doszły jeszcze rozliczne awarie, spięcia w instalacjach elektrycznych, uszkodzenia i zniszczenia wśród mebli w pomieszczeniach.

Po drugiej stronie oceanu musiano poddać transatlantyk koniecznym naprawom. W drodze powrotnej okazało się, że statkiem niesamowicie „rzuca”; otrzymano drogą radiową ostrzeżenie armatora, by nie dopuszczać do przechyłów większych niż trzydziestostopniowe. Przy końcu rejsu bardzo poważnie zaniemógł dowódca liniowca, kapitan Stankiewicz. Do Gdyni wprowadzał PIŁSUDSKIEGO jego starszy oficer, kapitan K. O. Borchardt. „Znaczy Kapitan” znalazł się w szpitalu.

Załoga statku stanęła na wysokości zadania, ale sam liniowiec nieco rozczarował. Zresztą w ogóle nie miał specjalnie szczęścia — sądzone mu było stać się największą tonażowo stratą PHM w czasie zbliżającej się wojny. Wracał właśnie z No-

wego Jorku do Gdyni — 1 września 1939 roku zawiązał do Newcastle w Anglii. Niedługo wojna zagarnęła w swą orbitę Anglię i Francję — stojący w porcie statek adaptowano na transportowiec: przebudowany PIŁSUDSKI mógł przyjąć do swych pomieszczeń około 2000 ludzi. Pierwszym zadaniem nowego transportowca miało być przewiezienie wojsk z Nowej Zelandii i Australii, dokąd statek miał popłynąć w konwoju, m. in. razem z młodszym motorowcem GAL-u budowy angielskiej — SOBIESKIM. Jako transportowiec, PIŁSUDSKI znalazł się w czarterze brytyjskiego Ministerstwa Transportu Wojennego. Rejs do Nowej Zelandii rozpoczął się 25 listopada 1939 roku — statek ruszył samotnie na miejsce zbiórki konwoju. Wczesnym rankiem następnego dnia wszedł na dwie miny, postawione wcześniej przez niszczyciele niemieckie. Po około pięciu godzinach od drugiego wybuchu flagowiec GAL-u zatonął. Zginęło na nim prawdopodobnie dużo więcej osób, niż się podaje — poza czwartym mechanikiem, T. Piotrowskim i kapitanem M. Stankiewiczem, ofiarą min niemieckich padli, zamustrowani dzień przed wypłynięciem — praktykanci — co najmniej kilku z nich nie zdołało wydostać się z ciemnych czeluści tonącego „pasażera”.

Kapitan Stankiewicz zmarł w wieku lat pięćdziesięciu, krótko przed podniesieniem z tratwy ratunkowej, na której ewakuował się z tonącego statku wraz z chłopcami okrętowymi. Wszystkich chłopców wyciągnięto na pokład okrętu angielskiego żywych, serce kapitana nie przetrzymało trudów dryfu na tratwie.

29 listopada 1939 roku na cmentarzu w West Hartlepool uroczystie pochowano Kapitana M. Stankiewicza. Pośmiertnie Kapitan odznaczony został krzyżem Wirtuti Militari.

Pierwszym dowódcą „BATOREGO” został kapitan ż. w. Eustazy Borkowski, sławny „Szaman Morski”, który przeszedł na nowy statek z „Kościszki”.

8 kwietnia 1936 roku statek „BATORY” został odebrany ze stoczni przez armatora.

Przejęcia „PIŁSUDSKIEGO” w sztormie z listopada 1935 r. sprawiły, że konstrukcję bliźniaka wzmocniono i poprawiono jego stateczność.

Tak jak „PIŁSUDSKI”, tak i młodszy „BATORY” miał charakterystyczną, ładną, harmonijną, dwukominową sylwetę, z lekko zaokrągloną czołową ścianą nadbudowy. Nieco różnił się wyglądem od „PIŁSUDSKIEGO”, miał też o kilka ton mniej po-

jemności brutto i netto, za to nieco większą nośność.

Swoj rejs wokół Europy — wycieczkę Szlakiem Południa — najnowszy wówczas „król” Morza Bałtyckiego rozpoczął dokładnie przed pięćdziesięciu laty, 21 kwietnia 1936 roku. Rejs potrwał 20 dni i był pierwszą z ponad dwustu dwudziestu podróży, jakie ma na koncie ten niezwykle zasłużony, solidny szczęśny transatlantyk. Rozpoczęła się świetna służba niedużego pasażera, który po latach fotografowano „burta w burcie” z najdłuższym transatlantykiem wszechczasów — trzecią „FRANCE”, jak równego z równym.

11 maja 1936 roku Gdynia witała BATOREGO po raz pierwszy. Sześć dni później uroczystie podniesiono i poświęcono nad statkiem polską banderę handlową, a osiemnastego maja 1936 roku transatlantyk ruszył po raz pierwszy w rejs transatlantyki — ukończył go w tym samym dniu, w którym z Southampton ruszyła na Zachód najstarsza z trzech KRÓLOWYCH Cunarda. Po latach te statki stawiono na równym poziomie, a przecież QUEEN MARY była od BATOREGO dwukrotnie dłuższa i o połowę szersza, a tonaż miała pięciokrotnie większy. Oczywiście, powitanie w Nowym Jorku było takie same, jak rok wcześniej Piłsudskiego.

W ciągu pierwszych trzech lat pływania na linii nowojorskiej statek nękały pożary. Dokładnie trzy razy wybuchał na Batorem ogień, będąc najprawdopodobniej efektem prób sabotażystów zniszczenia nowego polskiego „pasażera”. Czwartą „próbę” spalenia statku udaremniono.

BATORY oprócz tego, że obsługiwał linię nowojorską GAL-u, to jeszcze „chodził” też na wycieczki. Pierwsza z nich wiodła do portów bałtyckich — już w lipcu 1936 roku. Druga — do fiordów Norwegii — odbyła się w lipcu 1937 roku, i trzecia — na Bermudy — dwa miesiące później.

W dniu 24 sierpnia 1939 roku transatlantyk wyruszył z Gdyni w podróż Nr 39. Tym razem rejs na zachód trwał dni jedenaście. W Nowym Jorku, w dość burzliwych okolicznościach, nastąpiła zmiana na stanowisku dowódcy „Batorego”. Zrezygnowano z kpt. E. Borkowskiego — zastąpił go najpierw kpt. Szudziński, potem kpt. Pacewicz.

Statek przeszedł do Halifaxu w końcu września i tam pozostawał przez jakiś czas. W grudniu 1939 roku trafił w czarter brytyjskiego Ministerstwa Transportu Wojennego. Po jednym rejsie na Morze

Sródziemne i Czerwone transatlantyk przebudowano na transportowiec w liverpoolskiej stoczni. Liczba 1650 miejsc dla żołnierzy została później zwiększona do ok. 2000. Służba Marsowi trwała prawie sześć i pół roku — z tych groźnych, pełnych napięć i niebezpieczeństw dni największej sławy przysporzył Batoremu rejs z dziećmi angielskimi z bombardowanej Wielkiej Brytanii do dalekiej, spokojnej Australii. Bezpośrednio poprzedzała go podróż do Kanady z brytyjskim złotem i polskimi arrasami, a jeszcze wcześniej były akcje w kampaniach — norweskiej i francuskiej, ale rejs z pół tysiącem młodych Brytyjczyków zyskał statkowi wiernych i oddanych przyjaciół. Rejs ten dziewczęta i chłopcy z Wysp Brytyjskich mieli na „Batorem” odbywać tylko do południowej Afryki, ale rozkaz admiralicji ostatecznie uległ zmianie i cenni pasażerowie płynęli dalej na polskich transatlantyku. Brytyjskie dzieciaki były zachwycone statkiem i jego załogą — dowódca „Batorego”, młodszy z dwóch braci Deyczakowskich, Zygmunt, zwany był powszechnie Królem „pasażera”. Polacy, których rodziny cierpiały w okupowanej Polsce, opiekowali się młodymi Brytyjczykami serdecznie, a sekundowali im angielscy opiekunowie wiezionych dzieci z Komitetu Przyjęcia za Granicą, czyli CORB-u.

Na początku nie układały się stosunki między „korbistami” a polską załogą liniowca. Angielską nazwę Komitetu — Children Overseas Reception Board — Polacy (z początku) tłumaczyli: Chasing Officers Round the Boarddecks — Goniąc Oficerów Wokół Pokładu. Bardzo szybko jednak wspólna troska o miłych, małych pasażerów, zbliżyła obie strony.

Młodzi Brytyjczycy na „Batorem” nade wszystko śpiewali. Chcieli nawet nauczyć się polskiego hymnu narodowego, ale ostatecznie zrezygnowali z tego za radą swych opiekunów, i polskiej załogi statku. Zamiast niezrozumiałego dla Anglików Mazurka Dąbrowskiego, wybrano „Rotę”, jedną ze słynnych polskich pieśni, mającą swój odpowiednik wśród patriotycznych pieśni angielskich.

Można sobie teraz wyobrazić, z jakim wzruszeniem po trzydziestu bez mała latach śpiewali w lutym 1969 r. „Rotę” uczestnicy tamtego rejsu, gdy przybyli do Tilbury na spotkanie z odchodzącym statkiem!...

Wraz z akcjami w Norwegii i Francji w 1940 roku, statek uczestniczył w operacjach desantowych w Północnej Afryce (1942), na Sycylię (1943) i wreszcie, w lądowaniu na południu Francji w 1944 r.

W tej ostatniej akcji był okrętem flagowym francuskiego generała de Lattre de Tassigny. Wysadził oddziały w pobliżu znanego uzdrowiska, St. Tropez. Potem, od lipca 1945 roku do kwietnia 1946, pływając w brytyjskim czarterze z polską załogą, przewoził żołnierzy brytyjskich z basenu M. Śródziemnego do macierzystych jednostek na Wyspach. Koniec tej służby był równocześnie końcem wojennej kariery statku w ogóle. Statek, lubo szczęśliwy i pożyteczny, w czasie wojny stracił w wypadku starszego mechanika. Fr. Bomba, będąc szefem maszyny transatlantyka, wypadł za burtę „Batorego” w Liverpoolu, w lutym 1940 roku. 5 kwietnia 1947 roku transatlantyk, po przebudowie w antwerpijskiej stoczni, przedłużonej wskutek pożaru i usuwania szkód, wyrządzonych przez ogień — wyruszył, znowu w barwach GAL-u, do Nowego Jorku. W Gdyni pojawił się dopiero 30 kwietnia 1947 roku, po prawie siedmiu latach nieobecności. Powitanie miał królewskie.

W kwietniu 1951 roku zimna wojna i szyskany amerykańskie wobec statku spowodowały zawieszenie linii nowojorskiej PLO. W zamian za to uruchomiono linię indyjską, z Gdyni przez Southampton, Gibraltary, Malte, Port Said i Aden do Bombaju i Karachi. Statek został przystosowany do żeglugi w tropikach w jednej z brytyjskich stoczni i rozpoczął służbę na nietypowej i trudnej linii. Właśnie tu — w dniu 28 października 1954 r. — wielka sejsmiczna para fal na Morzu Śródziemnym spowodowała największe nieszczęście w historii statku: trzech marynarzy zostało nieoczekiwanie zmytych z pokładu za burtę „Batorego”, czwarty zmarł wkrótce wskutek odniesionych obrażeń. A wszystko to zdarzyło się w czasie setnego regularnego rejsu.

Zablokowanie Kanału Sueskiego w końcu października 1956 r. położyło kres istnieniu linii indyjskiej. Niemal rok później w sierpniu 1957 roku, przebudowany i zmordenizowany na Stoczni w Bremerhaven, „Batory” znów ruszył na Atlantyk, tym razem do Montrealu w Kanadzie. Tu spędził, kursując regularnie między Gdynią, a Montrealem — ostatnich jedenaście lat służby.

W styczniu 1967 roku na Atlantyku załoga „Batorego” uratowała 40 marynarzy z holenderskiego masowca — JOCOB VEROLME. Uratowanych przekazano następnie do portu na Wyspach Kanaryjskich, czyniąc to z najwyższym pośpiechem: jeden z nich miał wskutek oparzeń uszkodzony wzrok i ten pośpiech polskiej załogi pozwolił uratować rannemu jedynie oko. Innym razem wielki sztorm spowodował

groźne obrażenia u jednego z polskich marynarzy „Batorego”. Z pomocą pośpieszył gdyński chirurg, dr Hryniewicz, w tym rejsie pływający jako pasażer. Rannego operowano w morzu — operacja zakończyła się pomyślnie.

Wielką księgę wypełniłyby tylko rejestr nazwisk słynnych ludzi, pływających przez Atlantyk na naszym statku, zwanym zaszczytnie „Ambasadorem Polski”. Pływały na nim m. in. słynne zespoły polskie, udające się na tournée do USA i Kanady: „Mazowsze”, „Poznańskie Słowiki” i szcześcińskie dziewczyny wspaniałe i żywiołowe „Filipinki”...

Po zakończeniu służby transatlantycznej w dniu 17 grudnia 1968 r., statek miał przed sobą jeszcze krótki okres postoju przy Skwerze Kościuszki w Gdyni, jako hotel i restauracja. W tym charakterze służył półtora roku, wreszcie — 11 marca 1971 roku — sprzedany został na złom do Hongkongu. W ostatni rejs wyruszył z Gdyni 30 marca 1971 r. Czterdziestu sześciu ludzi odprowadzało statek do ostatniego portu, dowodził nim kpt. ż. w. Krzysztof Meissner, syn słynnego Tadeusza.

Po drodze nastąpiło spotkanie dwóch „pasażerów” — starego i nowego. Nowym był turbinowiec „S. BATORY”, dawny „MAASDAM” HAL-u. Wracał do Europy z kolejnej podróży transatlantycznej, a stary Batory siedział już tam, skąd nie ma powrotu. 11 maja znalazł się na miejscu, w Junk Bay w Hongkongu — potem miało miejsce już tylko opuszczenie bandery w dn. 2 czerwca 1971 r. Statek dokonał żywota w trzydziście sześć lat po wodowaniu. Odbył 222 podróże okrężne na liniach — nowojorskiej, bombajskiej i montrealskiej oraz ok. 75 wycieczek. Razem przewiózł około 300 tys. pasażerów. W ponad sześćdziesięciu latach wojennej służby przewiózł też około 120 tys. żołnierzy kilku narodowości.

Ludzie transatlantyku, którzy spotkali się na nim na trzy dni przed wyjściem w ostatni rejs, na pewno mieli co wspominać. A jeden z artykułów, umieszczonych w kwietniowym numerze MORZA z 1969 roku — nosił tytuł: „Queen Mary” nie mogłaby być lepsza!”, A „QUEEN MARY” była przecież rówieśnicą „BATOREGO” na Oceanie i jednym z najwybitniejszych transatlantyków w ogóle. I o niej Anglicy mówili, że od naszego szczęśliwego, rozśpiewanego statku nie mogłaby być lepsza.

Jest to jedno z najpiękniejszych zdań, powiedzianych o „Batorym”, choć i bez ujemy dla „Królowej Mary”.

(KONIEC)

Nowa fala w kinie francuskim

JAN SROKA

Na łamach tygodnika „L'Express” ukazał się w grudniu 1957 roku tekst ankiety adresowanej do młodych Francuzów i Francuzek, która miała dać zbiorowy portret młodego pokolenia. Napłynęło kilka tysięcy odpowiedzi, najciekawsze wydrukował „L'Express”. W 1958 roku ukazały się także w wydaniu książkowym. Książka nosiła tytuł — „La nouvelle vague” (Nowa fala). Kiedy na ekranach kin pojawiły się filmy Truffaut, Chabrola, Roucha, Resnaisa, Malle'a, polemizujące z dotychczasową praktyką filmową, nazywano je „nową falą”. Drogi i sukcesy nouvelle vague utorowały postulaty pod adresem kina francuskiego Aleksandra Astruca, artykuły grupy krytyków skupionych wokół miesięcznika „Cahiers du Cinema” oraz filmy Astruca, Vadima, Malle'a, Varda, Resnaisa.

Pierwszy numer „Zeszytów filmowych” ukazał się w kwietniu 1951 roku pod redakcją André Bazina i Jacquesa Dionel-Valcroze'a. Współpracowali z periodykiem: Francois Truffaut, Jean-Luc Godard, Claude Chabrol, Eric Rohmer. Twórcy nowofalowi postulowali sztukę wyzwoloną z mitów, potrafiącą nawiązać kontakt z rzeczywistością. Nawiązując do manifestu Astruca wprowadzili pojęcie autora filmowego odpowiedzialnego za każdy szczegół filmu, realizującego film w pierwszej osobie. „Nowa fala” przyniosła serię niskobudżetowych filmów kręconych techniką półamatorską, w naturalnych wnętrzach i plenerach, z nieznanymi aktorami. Podobieństwa rysowały się głównie w sferze

zewnątrznej — młody wiek twórców, ich poprzedni zawód (w większości byli uprzednio krytykami filmowymi), wreszcie świadomy wybór tradycji: Renoir, Rosellini oraz Amerykanie. Nim nadeszła moda na nowofalowe filmy, powstały dzieła, których zasadniczym impulsem realizacji była potrzeba autoekspresji.

Moralnym zwycięzcą Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Cannes w 1959 r. został film F. Truffaut „400 batów”. Miejsce gwiazdy zajmuje w nim mały chłopak. Reżyser nie stara się, by fabuła filmu przyciągała atrakcyjnością. Młody bohater źle znosi szkołę, czuje się niepotrzebny w domu, zatem ucieka szukając szczęścia. Truffaut towarzyszy Antoine'owi jak dyskretny świadek. Udało mu się sfilmować samotność małego bohatera i to zadecydowało o sukcesie „400 batów”. Festiwalowy sukces przyczynił się do kariery innych filmów tego nurtu, m. in. „Pięknego Sergiusza” Claude'a Chabrola.

W 1960 roku odbyła się premiera filmu Godarda „Do utraty tchu”. Film przynosi przełom w sposobie kreacji bohatera oraz w realizacji filmowej. Antybohaterowie Godarda są zaprzeczeniem typów z literatury i tradycyjnego ekranu, działają przez zaskoczenie. Trudno przewidzieć, jaka będzie ich najbliższa reakcja. Reżyser wprowadza do filmu sylwetki ludzi wolnych, a zarazem stwarzanych przez okoliczności, obserwując ich w autentycznym kontekście. Operując lekką kamerą mógł

filmować swoich bohaterów przechadzających się wśród tłumów. Realizowany był ideał André Bazina „filmu przezroczystego”, kamery maksymalnie zbliżonej do filmowanych obiektów. Realizując swoje filmy — eseje („Mały żołnierz”, „Życie własnym życiem”, „Kobieta zamężna”) nigdy nie traci kontaktu z rzeczywistością. Louis Aragon pisał o Godardzie: „Nikt nie potrafi tak jak Godard oddać tego, co nazwalibyśmy ładem chaosu. I to we wszystkich swoich filmach (...) Jest to odkrycie ład w tym, co z samej swej natury musi być sprzeczne z wszelkim porządkiem”.

Alain Resnais debiutuje w filmie fabularnym w 1959 roku. W oparciu o scenariusz Margerite Duras powstaje „Hiroshima moja miłość”. Przeplatają się tu dwa wątki: japoński teraźniejszy z wątkiem Nevers wylaniającym się z przeszłości. Oba współtworzą osobliwą ponadrzeczywistość czasowo-przestrzenną. Dużą rolę w filmie odgrywają pejzaże. Są nie tylko tłem, ale także „stanem duszy”, oddziałują na ludzi. Resnais rozwija problematykę relatywności ludzkiej pamięci, stara się przełożyć na język filmowy przeżycia bohaterów posługując się stylem dokumentalnym. Hiroshima i Nevers stanowią część wewnętrznego świata bohaterów. Przenikanie planów zewnętrznych z planami stanów wewnętrznych, ze scenami pomyślanymi, wyobrażonymi rozwinie w swoim następnym filmie „Zeszłego roku w Marienbadzie”, który zrealizował z czołowym pisarzem „nowej powieści” Alainem Robbe-Grilletem.

Podobnie jak Resnais, z filmu dokumentalnego wywodzi się Agnès Varda. Jej film „La Pointe Corte” (1954) stanowił model dla omawianego kierunku. „Cleo od 5 do 7” (1962) jest próbą dokumentu psychologicznego, opowiada o dwóch godzinach z życia kabaretowej śpiewaczki. Przez dwie godziny kamera towarzyszy bohaterce, rejestrując jej wszystkie czynności. Obserwacja podzielona jest na sceny o osobnych tytułach, uzupełnionych dokładnym czasem akcji. Większość zdjęć nakręciła Varda w autentycznych paryskich plenerach i wnętrzach ukryta kamera. Jej następny film „Szczęście” jest lirycznym obrazem o młodym rzemieślniku zakochanym w dwóch kobietach jednocześnie.

Twórcy „nowej fali” dowiedli, że dla zapewnienia filmowi sukcesu nie jest potrzebna głośna gwiazda (choć wykreowali swoje gwiazdy — Jean-Paul Belmondo, Anna Karina) czy drogie dekoracje. Te tradycyjne walory można zasąpić bystrą obserwacją świata, autentyzmem sylwetek ludzkich. „Nouvelle vague” nie stworzyła ar-

cydzieł. Powstało kilka filmów wybitnych. Arcycydzielem był mł., jaki stworzyła, ów mł. odegrał poważną rolę kulturotwórczą. Wywarła wpływ na wiele kinematografii, głównie poetyka filmowa Godarda (np. na kinematografię czeską: Formana, Kadara i Kłosa, Nemeca). Filmy tej szkoły to były filmy nieograniczonych możliwości, otwarte na dowolne propozycje, będące: dokumentami, esejami, pamiętnikami, impresjami, traktatami moralnymi. Drugim zjawiskiem, które pojawiło się w kinie fransuskim u progu lat 60-tych było „cinéma vérité”. Nazwa pojawiła się z okazji premiery filmu Jean Roucha i Edgara Morin „Kronika jednego lata” (1961). Nawiązywała do teorii radzieckiego dokumentalisty lat 20-tych Dzigi Wiertowa. Określano tym terminem nowe tendencje w filmie dokumentalnym. Cechy wyróżniające „cinéma vérité” to: zerwanie z inscenizacją, na rzecz wyłącznej rejestracji autentyku, rejestrowanie rzeczywistości rozgrywającej się spontanicznie przed kamerą, rejestrowanie myśli człowieka, przeżyć. Jednocześnie wraz z obrazem rejestrowano dźwięk. W tym celu posługiwano się lekką, bezszmerową kamerą, wysokoczułą taśmą, miniaturowymi mikrofonami. Celem filmu Roucha i Morina miało być poznanie sposobu i stylu życia przedstawicieli najrozmaitszych warstw społeczeństwa francuskiego. Punktem wyjścia filmu stały się pytania: „Jak żyjesz?”, „Jak sobie dajesz radę w życiu?”, „Czy jesteś szczęśliwy?”. Pytania te zadawano przypadkowym przechodniom, następnie następował cykl rozmów, dyskusji, zwierzeń. Film był obrazem wysoko rozwiniętego społeczeństwa — jego bierności, ograniczonych ambicji i zainteresowań, bezcelowości egzystencji.

Formułę Roucha rozszerzył Chris Marker w filmie „Piękny maj” (1963). Filmował ukryta kamera, łapiąc życie na gorąco. Utwór jest kroniką jednego miesiąca, maja 1962 roku. Celem Markera było uchwycenie obrazu jednego miesiąca w płaszczyźnie codziennej egzystencji przeciętnych Francuzów. Podobnie jak w „Kronice jednego lata” asystujemy przy serii zwierzeń i wypowiedzi najrozmaitszych osób.

„Kino prawda” pozwalało na pełniejsze zbliżenie do rzeczywistości, pełniejsze obnażenie prawdy o autentycznych bohaterach. Choć dużo zależało od sposobu posługiwania się metodą, od ingerencji i koncepcji reżysera (wybór bohaterów, wybór fragmentów ich wypowiedzi, montaż).

LEKTURY STANISŁAWA MISAKOWSKIEGO

Ex ponto

Nazwisko serbskiego pisarza, laureata nagrody Nobla, Ivo Andrića znane jest czytelnikowi polskiemu. Wystarczy przypomnieć o takich książkach jak: „Pragnienie” (opowiadania), „Most na Drinie”, „Konsulowie ich cesarskich mości”, „Wakacje na południu”, aby wskazać w pamięci chociażby część bogatego dorobku twórczego tego znakomitego Serba. Twórczość Andrića tematycznie zamyka się w granicach jego rodzinnej Bośni, która obecnie wspólnie z Hercegowiną stanowi republikę federacyjną Jugosławii.

Historia Bośni bogata jest w wydarzenia. W starożytności była częścią Serbii, Węgier, a od XII wieku stanowiła niezależne państwo, które w 1463 roku zostaje podbite przez Turków. Potem — okupacja austro-węgierska, aneksja. Od I wojny światowej wchodzi w skład Jugosławii. Ludność Bośni liczy obecnie ponad trzy miliony i składa się z Bośniaków—Słowian i Bośniaków pochodzenia muzułmańskiego. W czasie drugiej wojny światowej Bośnia była silnym ośrodkiem antyniemieckiego ruchu oporu.

Zawile dzieje historii rodzinnych stron połączone z bogactwem nadadriatyckiego krajobrazu odegrały znaczącą rolę w twórczości Ivo Andrića. Tworząc epicki obraz przeszłości Bośni pisarz sięgnął do starych kronik i dokumentów, do ludowych podań i gawęd. Źródła te w znacznej mierze określili poetykę jego prozy, w której stosuje beznamytną narrację kronikarzy i styl ludowej opowieści. Jednak lokalne i historyczne ramy, przy całej swej egzotyce i barwności, są tylko pretekstem do powtarzającego się w twórczości pytania o sens życia. W poszukiwaniu odpowiedzi autor wychodzi poza obręb Bośni i wkracza w rewiry filozoficznych rozważań,

oscylujących między egzystencjalistycznym pojęciem absurdu a fatalistycznym pogodyeniem się z życiem, takim jakie jest.

Życie Ivo Andrića było nie mniej bogate w wydarzenia, niż jego macierzysta Bośnia. Był członkiem narodowo-rewolucyjnego ugrupowania młodzieżowego Młoda Bośnia — organizacji, do której należał również zamachowiec Gawrilo Princip. To prawda, że Andrić w tym ugrupowaniu tworzył nurt literacki, tym niemniej swoim piórem dawał wyraz tymże ideałom, co Gawrilo Princip swoim czynem. To właśnie Andrić na parę miesięcy przed zamachem w Sarajewie w słynnym, cytowanym potem powszechnie zdaniu, postawił znak równości między poetami i zamachowcami. Twierdził, że poezja powinna być czynem i czyny rodzić. Wkrótce czyn Principa wpłótł się w historię, a Andrić osadzony przez policję austro-węgierską w więzieniu, znalazł się w centrum światowych wydarzeń. Stał się ze swym pokoleniem, z jego myślącą awangarda poetów czynu, głównym bohaterem rozgrywającego się światowego dramatu.

Twórczość Andrića dzieli się na dwa okresy: młodzieńczy, w którym powstają jego pierwsze książki poetyckie — „Ex ponto” i „Niepokoję” przypadające na lata pierwszej wojny światowej i drugi, w którym autor wyrzeka się dalszej twórczości lirycznej, pisze opowiadania i powieści epiczne o rozbudowanej fabule. Andrić do końca życia kategorycznie broni się przed wznowieniem jego pierwszych książek napisanych wierszem i prozą poetycką, jakby w obawie, że może to podważyć cały jego późniejszy dorobek twórczy. Tym niemniej krytyka, na którą Andrić nie miał powodu uskarżać się, bo od początku znajdował się w centrum jej zainteresowania, nigdy nie pomijała tych książek. Niektórzy krytycy wręcz w „Ex ponto” i „Niepokojach” doszukiwali się klucza do jego dalszej twórczości. Przyczyna niechęci autora do swych pierwszych utworów nadal pozostaje zagadką. Książki te obecnie znajdują się w powszechnym obiegu i mimo ich kontrowersyjności budzą u czytelników i krytyków powszechne zainteresowanie.

Wydawnictwo Łódzkie, obok twórczości pisarzy polskich, wydaje serię pt. „Biblioteka Jugosłowiańska”, w której przedstawia najcenniejsze dzieła, tak mało nam znanej literatury tego kraju. Ta bardzo pożyteczna i zaszczytna rola wydawnictwa

mogłaby się przyczynić do jeszcze szerszej popularyzacji pisarzy jugosłowiańskich, gdyby na skrzydełku ukazujących się tomików podawano wykaz autorów, których książki już się ukazały i które w najbliższym czasie wydawnictwo zamierza wydać.

Książka, o której dziś mowa nosi tytuł „Ex ponto”, Łódź 1985, a na jej treść składają się utwory z pierwszych młodzieńczych książek Andrića — „Ex ponto” i „Niepokoje” oraz różne luźne notatki powstałe w późniejszym okresie życia autora, a które forma i treścią są zbliżone do pierwszych jego utworów. Lektura tej książki budzi podwójne zainteresowanie: przedstawia ona pierwsze próbki twórczości artystycznej przyszłego laureata nagrody Nobla i jest tą twórczością, do której sam autor niechętnie się przyznawał. Są to jednak złudne zainteresowania: w książkach tych można dostrzec ostrą nonkonformistyczną postawę w doświadczaniu samego siebie. Świat się walił i trzeba było w odosobnieniu mierzyć się z samym sobą, z własną myślą. Andrić bowiem pierwszą książkę pisał w więzieniu. Tytuł „Ex ponto” zapożyczył z Owidiusza, co w luźnym tłumaczeniu oznacza: „z zesłania” albo „z wygnania”. Znaczący twórczości i życia Andrića twierdzą, że przyszłemu nobliście w więzieniu towarzyszyły tylko dwie książki: dzieła duńskiego myśliciela i pisarza Kierkegaarda oraz wiersze naszego rodaka Juliusza Słowackiego (Gwoli przypomnienia: Anrić studiował m. in. na Uniwersytecie Jagiellońskim). Można się domyślać, że ta towarzysząca przed laty lektura stała się inspiratorem i odegrała znaczną rolę w kształtowaniu osobowości twórczej pisarza.

Swa pierwsza książka przyszły laureat nagrody Nobla zaczyna pytaniami zwróconymi bezpośrednio do czytelnika:

Czy życie kiedyś wyrzuciło was ze swych kolein i czy żegnaliście się z dniem powszednim? Czy wzbijaliście się w powietrze unoszeni przez strasliwą wichurę w przerażeniu, że grunt wymyka się wam spod stóp?

Czy zdarzyło się, że zabrano wam wszystko — a czegoś człowiekowi nie można zabrać? Czy duszy waszej nie plugawiła wstrętna, ciężka ręka? Czy nie wzięto wam radości i pogody wolnego ducha, czy nie wzięto wam nawet odwagi, tego ostatniego, rozpaczliwego daru losu? Czy nie zrobiono z was kiedyś niemego, warczącego tylko niewolnika?

Dalej autor konkluduje: *Byłem wiernym, dumnym gościem życia. W tym twierdzeniu jest coś, co nas, mówiąc słowami Wańkowicza — krzepi. Człowieka można doprowadzić do niemoty, ale dumy jego zabić nie można. Są to już myśli określające postawę dojrzałego Andrića.*

Historia świata kryje w sobie tyle niespodzianek, że najteższe umysł nie mogą przewidzieć jej nieoczekiwanych zakrętów. Andrić był katolikiem, którego wiara w Boga nie opuszczała nawet w najbardziej rozpaczliwych chwilach. *Bóg wybaczy wszystkim — powtarza w swoich rozważaniach. Kiedy opuszcza więzienie, mówi: Cały blask, który Bóg rozlewa po świecie, rozjaśnia moje oczy. Haftowane kilimy słońca i cienia. Ognisty zapach ma wino życia. Serce bije mi w gardle. Jednak rzeczywistość, z którą spotyka się oko w oko, jest przerażająca. W blasku słońca — pisze — zobaczyłem całą historię ludzkości jako niekończącą się rzeź niewinnych, jako czarną skrzynię zamkniętą na klucz, którą wyrzucono do morza. Pierwsi, co zginęli za Chrystusa, także byli niewinni.*

Młody, pełen wiary w przyszłość poeta uważa, że tragedia ta była swoistym odkupieniem, by zapanował na świecie trwały porządek i ład. Jakże patetycznie brzmią jego słowa, kiedy zwraca się do potomnych: *Wasze życie upływać będzie w dostatku i radości, będzie niczym żniwa i owoc jesieni, a nasze życie jest wielkie, ciężkie i pełne udręk niczym wiosenna orka i siew. Pisząc te słowa młody Andrić nie przypuszczał, że po pierwszej wojnie światowej świat stanie przed obliczem jeszcze większych, niespotykanych dotąd rzezi. Stał się naczyniem świadkiem obózów śmierci, atomowych spustoszeń, despotycznych rządów, terrorystycznych przemocy. Może właśnie dlatego, będąc w szedziwym wieku nigdy już nie chciał, aby jego pierwsze utwory były udostępnione czytelnikowi. Potwierdza to zresztą jego ostatni wiersz napisany wkrótce przed śmiercią w 1973 roku w Belgradzie:*

(...)

*Moje dawne, wciąż żywe pragnienie
odzywa się skądś z głębi
i po cichutku szuka miejsca
gdzieś w bezkresie orgodów rajszych.
Tam znalazłbym wreszcie to,
czego daremnie szukałem tutaj:
przestrzeń bez granic, otwarty widnokrąg,
odrobinę wolnego oddechu.*

STANISŁAW MISAKOWSKI

Syn

Niebieski hipopotam pędził między strugami jesienno deszczu, liście leżące na czarnym asfalcie, liśnily w oczach stwora jak gwiazdy — układały się w przedziwne konstelacje. Kierowca przyciskał pedał gazu, droga bowiem była wymięciona do czysta. Radiowy głośnik muskał uszy pasażerów piosenką „Perfectu” — „Nie płacz Ewka”, lecz Krzysiek huśtając się na wycieraczkach sączył inny przebój. Przelewał pod nosem pourywane krople:

„... jest trzecia rano,
wszyscy jeszcze śpią,
a wycieraczki jedna tam
druga tu...”

Ludzie w hipopotamie drzemali, ciepło i kołysanie zrobiły swoje, tylko on zawieszony między liścianymi gwiazdozbiorami był daleko poza tym niebieskim stworem. Myśli jego malowały kolorowe kartki sprzed trzech lat, kiedy to na weselu u kuzynki, kilka dni przed odejściem do wojska, tańczył z drobnym Kurczakiem piosenkę o wycieraczkach, które także tańczyły, była jesień tak, jak teraz. Tańczył i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie miejsce. Otóż pływali z Anką po tafli asfaltu, na który wyrzuciła ich ciasna salka i rozpalone głowy.

Trzy białe niedźwiedzie rozpląnęły się w wiosennym słońcu. Kilka ciepłych, okrytych koldrą przyjaźni listów od Anny do niczego nie przyszpilało. Pod koniec służby ożenił się więc z Aliną, którą poznał na rok przed zrzuceniem munduru. Było im dobrze, tak mu się wydawało. Urodziła synka, którego bardzo kochał. Kamilek rósł na drożdżach. Dzieńa łóżeczka z każdym dniem była mniejsza i mniejsza. Już z daleka witał powracającego do ich mrowiska ojca — dzwoniąc dzwoneczkami uśmiechu.

Fale dni przelewały się w morzu pracy leniwie, ale Krzysztof zdawał sobie doskonale sprawę, że początek jest trudny do udźwignięcia. Na rodziców nie liczył, sami chętnie przyjąliby luzaka.

Hipopotam przystanął i kolejna grupa parasoli usadowiła się na fotelach. Krzysiek przycupnął na twarzy dziewczyny siedzącej obok niego. Coś bliskiego utrzymywało go na niej, dopiero po chwili uświadomił sobie, że ma włosy Anki; o której myśli ostatnio powracały do niego, jak węgorze w sargasowe głębiny. Stał wówczas w ogonku, bo miał chęć na kawałek słodczy, gdy zapytał ile płaci, ujrzał białą piłę zębów i usłyszał, że po starej znajomości — dziękuję — zupełnie wystarczy. Jego spojrzenie wyciągnęło zza lady Annę. Nie tę sprzed trzech niedźwiedzi, była jakaś zmieniona, chociaż nadal wiotka, oraz z włosami, jakie zabalsamował w pamięci, to jednak inna. Jej rysy nabrały nowego wyrazu, zakwitły kobiecością. Ile miała lat? Dziewiętnaście — pomyślał — przyszpilając szesnastoletniemu podlotkowi trzy jesienie, ależ ten czas leci — zatrzepotał zdziwieniem.

Ludzie poczęli kłuć go cierpkimi uwagami. Poprosił Ankę na bok. Zapytał, czy po pracy mogą pójść pod prąd tej rzeki, która płynęła między nimi. Zadowolenie przysiadło na twarzy dziewczyny pełną krasą. Od tamtej pory drogi ich krzyżowały się często. Opowiadali o sobie, pytali o nieznane, tajemnice dotychczas ukrywane w kieszeniach puszczały z wiatrem. Okazało się, że są bardziej skrupowani sznurem przywiązania, czy też czegoś innego... niż mogli przypuszczać. Nad domem Krzyśka zawisała, na linie ukreconej z jego winy, wystrzona siekiera. Tylko Anka się teraz liczyła, tylko z nią czuł się piórkiem, tylko ją przykładał do rany życia.

Dopiero teraz porównując obie, stwierdził, że o wiele cieplej otula szalem myśli właśnie ją. Zniechęcenie narastało i panoszyło się w każdym kącie.

Hipopotam ponownie zatrzymał się. Przesiąknięci wiatrem i deszczem ludzie żwawo przytulali ciepło. Krzysztof jednak w ogóle dzisiaj nie pływał w akwenach ich postaci. Po pracy ostatni raz miał dobić do portu, czekała go rozmowa z Anną. Obawiał się jej jak sztormu. Czuł się fatalnie. Kotwica niezdecydowania wisiała w powietrzu. Musiał ją wciągnąć na pokład, albo rzucić w kierunku dna.

Hipopotam wtoczył się na miejską ulicę, liściane gwiazdozbiory zgasły, tylko wycieraczki zapamiętałe tańczyły swój taniec, spijając krople deszczu z szyb, krople które ponownie parskały w ogromny panoramiczny pysk.



Wszedł do zakładu, pancerz płaszcza wciąż trwał na jego grzbiecie. Usiadł ciężko przy mostku kapitańskim. Wytrenowanym ruchem poprawił niesforną pianę włosów, brodę oparł na kowadło pięści, jak zwykle w chwilach, gdy w głowie kuł żelazo. Po ekranie smużył się film, z synkiem, żoną i Anką w rolach głównych. Miał notes z numerem telefonu Anny, nie złamał jednak pieczęci, nie odbezpieczył odwagi. Wciąż huśtał niepewność. Zwlekał. Nie mógł wyżyć decyzji.

Czarny aparat patrzył w jego oczy...

ANDRZEJ ŻOK

RECENZJE

„W obronie władzy ludowej 1944—1952”. Praca zbiorowa pod redakcją Tadeusza Walichnowskiego. Krajowa Agencja Wydawnicza. Warszawa 1985, ss. 158.

Nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej ukazała się publikacja „W obronie władzy ludowej 1944—1952” ukazująca wkład organów bezpieczeństwa publicznego i Milicji Obywatelskiej w umacnianiu władzy ludowej w Polsce. Głównym celem opracowania jest ukazanie różnorodnych działań organów bezpieczeństwa i MO oraz walek wewnętrznych w procesie utrwalania władzy ludowej (s. 5). Praca składa się z trzech części. Część pierwsza zawiera syntetyczne omówienie procesu kształto-

wania się władzy ludowej w Polsce na tle sytuacji zewnętrznej i wewnętrznej Polski. Autor (Tadeusz Walichnowski) ukazuje wkład organów bezpieczeństwa, MO i Ludowego Wojska Polskiego w rozbicie zbrojnego reakcyjnego podziemia oraz stabilizacji życia społeczno-politycznego i gospodarczego w Polsce. W końcowej części T. Walichnowski przeprowadza bilans walk o ludową Polskę stwierdzając, że w walkach tych zginęło 30 000 obywateli polskich, a w nielegalnych organizacjach polity-

cznych i grupach zbrojnych przeciwko władzy ludowej działało ponad 100 000 osób (s. 19).

Część druga pracy zatytułowana „Wybór wydarzeń” pióra Wiesławy Dobkowskiej, Zdzisława Bilskiego i Kazimierza Piotrowskiego zawiera chronologię wydarzeń w walce o władzę ludową w okresie od powołania Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego w lipcu 1944 roku do uchwalenia przez Sejm w dniu 22 lipca 1952 roku Konstytucji PRL. Na prawie 90 stronach druku autorzy bardzo szczegółowo wymienili najważniejsze i najistotniejsze wydarzenia ukazujące wkład organów bezpieczeństwa i MO w walce o utrwalenie władzy ludowej. Czytelnik znajdzie także interesujące go dane dotyczące Pomorza Środkowego.

Dużą wartość poznawczą ma trzecia część napisana przez Piotra Majera, „Historiografia i stan badań”. Autor dokonuje wnikliwej analizy aktualnego stanu badań nad dziejami walki o utrwalenie władzy ludowej, stwierdzając, że w okresie lat 1960—1983 ukazało się w kraju ponad 250 pozycji w postaci książek, artykułów, referatów naukowych zamieszczonych na łamach periodyków historycznych i społeczno-politycznych. Tematyka kształtowania się władzy ludowej była przedmiotem wielu prac doktorskich i magisterskich (s. 111). Jednocześnie w celu bardziej przejrzystego za-

prezentowania badań autor omówił je w układzie problemowym następująco: rola sił lewicowych w powstaniu i rozwoju organizacyjnym Służby Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej, wkładzie SB i MO w walce o utrwalenie władzy ludowej, powstaniu i działalności Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, powstaniu i działalności Wojsk Ochrony Pogranicza oraz powstaniu i działalności Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej. Opracowanie wzbogacają liczne przypisy (ponad 200) odsyłające czytelnika do prawie pełnej literatury. Całość uzupełniają dwie tabele prezentujące w układzie wojewódzkim (do 1975) liczbę prac dotyczących działalności komend miejskich i powiatowych MO i PUBP oraz udziału MO i SB w zwalczaniu reakcyjnego podziemia w poszczególnych powiatach. Z tabel wynika, że powiatów Pomorza Środkowego dotyczy 10 prac (Rąbogard Drawsko, Koszalin, Miastko, Sławno, Słupsk, Złotów).

Reasumując otrzymuje czytelnik opracowanie, syntezujące dzieje walki w obronie władzy ludowej w pierwszych latach PRL. Książka stanowi interesujące uzupełnienie dotychczasowej literatury przedmiotu, a jej popularne ujęcie pozwala ją adresować do szerszego grona czytelników.

STEFAN ŻURAWSKI

W KWIETNIU ZAPRASZAJĄ

KLUB MIĘDZYNARODOWEJ PRASY I KSIĄŻKI
Słupsk, Plac Armii Czerwonej, tel. 266-07
— Wystawa rysunku i grafiki Zyhdii Cakollegio „O pokój na świecie”.

PAŃSTWOWY TEATR LALKI „TĘCZA”
Słupsk, ul. Waryńskiego, tel. 239-35
— „Nie zawsze jest tak jak się komu wydaje” wg Jana Ośnicy, reż. Zofia Mikińska, scen. K. Grzesiak, muz. J. Stachurski.

SŁUPSKI TEATR DRAMATYCZNY
Słupsk, ul. Wałowa 3, tel. 238-39
— „Świadkowie — albo nasza mała stabilizacja” T. Różewicza, reż. i scen. J. Różewicz, muz. J. Stachurski;
— „Księżniczka na opak wywrócona” P. Calderon de la Barca reż. J. Pińkiewicz, scen. B. Jankowska, muz. P. Malwin.

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH
Słupsk, ul. P. Findera 3
12.04. — Eliminacje Wojewódzkie XXIII Ogólnopolskiego Turnieju Wiedzy o Sztuce.

Salon wystawowy w Baszcie Czarownic,
ul. Fr. Nullo, tel. 262-46
4.04. — Grafika artystów z całego świata — „Młodzi na rzecz pokoju”.

SŁUPSKA ORKIESTRA KAMERALNA
Słupsk, ul. Wałowa 3, tel. 263-38
10 i 11.04. — koncert symfoniczny, dyr. Z. Siałak, solista M. Korecka-Soszkowska;
17 i 18.04. — Bajka muzyczna dla dzieci — „Pan Twardowski”;
24 i 25.04. — Koncert symfoniczny, dyr. Z. Hassa, soliści — W. Gołębiowski — klarnet, P. Szczyrba — klarnet.

WOJEWÓDZKI DOM KULTURY
Słupsk, ul. Pawła Findera 5, tel. 240-41, 247-84
11 i 12.04. — Strefowe Eliminacje XXXI Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego.

KRONIKA • 15 II – 14 III

■ W Klubie MPiK można było w marcu oglądać wystawę rysunków Anny Cielczyk — Koty. Autorka stale mieszka w Gdyni, jest absolwentką WSSP w Gdańsku. Prace swe eksponowała na licznych wystawach w kraju i poza jego granicami.

■ Uczniowie Szkoły Podstawowej nr 8 oraz Szkoły Muzycznej przygotowali wieczór poetycko-muzyczny — „Muzyka pana Chopina”. Koncerty przygotowały klasy: V b i V d, członkowie Koła Żywego Słowa oraz młodsi muzycy. Premiera odbyła się w KMPIK. Kolejne prezentacje przygotowano z okazji spotkań na 8 marca.

■ W Wojewódzkim Domu Kultury w Słupsku prezentowana była wystawa prac dziecięcych wykonanych na zajęciach sekcji plastycznej GOKSiR w Nowej Wsi Lęborskiej. Prezentowano prace dzieci od 9 do 15 lat oraz instruktora prowadzącego zajęcia, S. Dawidowicz. Ekspozycja była pierwszą w tym roku z cyklu wystaw „Instruktor i jego pracownia”.

■ Zespół wokalny MESSA pracujący w LO w Uście został laureatem V Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki Żeglarskiej w Krakowie. Opiekun grupy — nauczyciel Krzysztof Piechota otrzymał nagrodę Naczelnika Głównego ZHP za wieloletnią pracę z zespołem oraz własną pracę kompozytorską.

■ Wojewódzki Dom Kultury był organizatorem I Dni Kultury Kaszubsko-Pomorskiej. Imprezy zaplanowano na cały miesiąc. W Klubie WDK zorganizowano wieczór poezji poświęcony pamięci poety Jana Karnowskiego oraz kiermasz porcelany wykonywanej w Zakładach Ceramiki Ludowej w Lubanie. Dyrektor fabryki — Benedykt Karczewski na spotkaniu z mieszkańcami miasta opowiadał o tradycjach zdobniczych Kaszub oraz o cyklu produkcyjnym ceramiki z wzornictwem regionalnym.

■ Dzień Kobiet obchodzono w Słupsku jak zwykle bardzo uroczystie. Zamiast tradycyjnych upominków — słupszczanki fundusze przekazały na budowę szpitala wojewódzkiego. Z pięknym podarunkiem wystąpiło MPS. 7 marca w salach muzealnych zaprezentowano ekspozycję „Wizerunek kobiety w malarstwie grafice i rzeźbie”. Wykorzystano zbiory własne muzeum.

■ Rozstrzygnięto XXXI Konkurs Recytatorski. Do eliminacji wojewódzkich przystąpiło 23 recytatorów w kategorii młodzieżowej, 6 recytatorów w kategorii dorosłych oraz 5 wykonawców poezji śpiewanej. Laureatami zostali:

- Marta Matuszewicz z LO w Sławnie — recytacje w kategorii młodzieżowej,
- Zbigniew Salek z Ustki — recytacje w kat. dorosłych,
- Marek Kulesza z Debrzna w kategorii poezji śpiewanej.

Jury przyznało także nagrody instruktorom i nauczycielom szczególnie zasłużonym dla ruchu recytatorskiego:

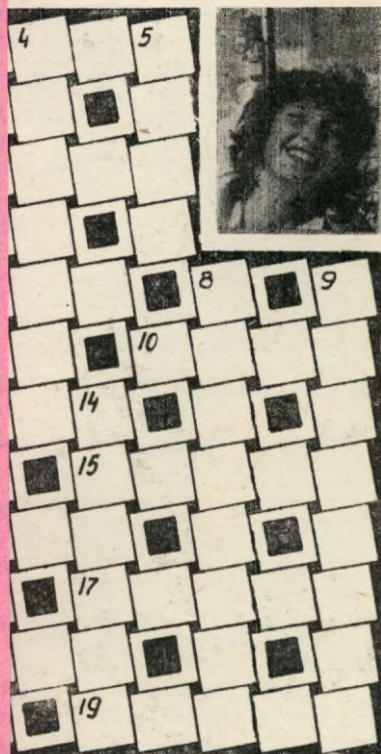
- Alicji Głowackiej z LO w Lęborku,
- Celinie Grzesiak z MOK w Lęborku,
- Eustachemu Bindasowi z LO w Sławnie,
- Grzegorzowi Janowczykowi z MOK w Człuchowie.

W kwietniu planowany jest przegląd międzywojewódzki. Do Słupska przyjadą laureaci z województw: szczecińskiego, koszalińskiego, gdańskiego, elbląskiego, gorzowskiego, pilskiego, bydgoskiego, toruńskiego, włocławskiego, poznańskiego i konińskiego.

POZIOMO: — 1) utwór literacki o rozwiniętej fabule i gawędziarskim stylu narracji; 6) instrument muzyczny (flet Pana); 7) roślina warzywna, wieloletnia; 10) rozbił się o morisko brzeg; 11) marcowe sosienizantka; 15) włoska aktorka filmowa; 16) rzecz o klepana, banana; 17) sieki wyrosłe pod drzewem z samosiewu; 18) łączność, stylizacja; 19) baglienny las nad Amazonką.

PIONOWO: — 2) zespół urządek stosowanych w kórnictwie i przemysle; 3) Stanisław Ignacy Witkiewicz; 4) uczony francuski, doradca i biograf Karola Wielkiego; 5) człowiek przebiegły, doświadczony; 8) postać lekarska; 9) brak chęci do pracy; 11 „siedzi” na końcu lufy karabinu; 12) odgłos uderzeń koniczek kopyt; 13) kolorowy otok czapek wojskowych; 14) Buk Glass Grzegorz.

DUET KRZYŻOWKOWY



Dużą wartość poznawczą ma trzecia
 napisana przez Piotra Majera, „Historia
 i stan badań”. Autor dokonuje w
 swojej analizie aktualnego stanu badań
 dziejami walki o utrwalenie władzy
 wej, stwierdzając, że w okresie lat
 1983 ukazało się w kraju ponad 250 r
 w postaci książek, artykułów, refe
 naukowych zamieszczonych na łamach
 riodyków historycznych i społeczno
 tycznych. Tematyka kształtowania się
 dzy ludowej była przedmiotem wielu
 doktorskich i magisterskich (s. 111).
 cześnie w celu bardziej przejrzyste

■ Od listopada 1985 roku na terenie województwa ślupskiego przebiegały eliminacje rejonowe XXV Konkursu Piosenki Radzieckiej. Przygotowano je w Bytowie, Ślupsku, Uście, Miastku, Sławnie, Lęborku i Czarnem. Do eliminacji wojewódzkich organizowanych w Lęborku przystąpiło 14 solistów i 9 zespołów. Laureatami eliminacji woj. zostali Stanisław Reptowski z Bytowa, Aleksandra Jazdzierska z Człuchowa i Rajmund Sekulski ze Sławna. W kategorii zespołów dwa równorzędne pierwsze miejsca zdobyli: zespół „Dąbny” ze Ślupska oraz zespół wokalnoinstrumentalny z Wiejskiego Domu Kultury w Zaleskich. „Dąbny” otrzymał także nagrodę specjalną ufundowaną przez Konsulat Generalny ZSRR w Gdańsku.

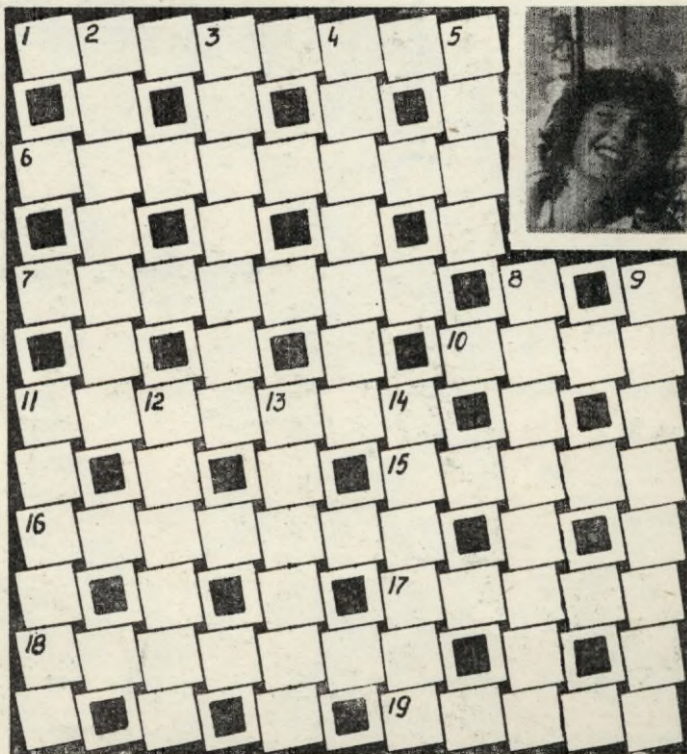
32

DUET KRZYŻÓWKOWY

POZIOMO: — 1) członek chóru w starożytnym teatrze greckim; 6) publikacja w miękkiej, nietrwalej oprawie; 7) pisarz francuski, autor dramatu „Teatr Klary Gazul”; 10) glony; 11) odmiana klawesynu; 15) biuro dla udających się w podróż; 16) istotna treść sprawy; 17) brak środków do życia; 13) uniform służby hotelowej; 19) rodzaj pędzla.

PIONOWO: — 2) posługuje się pozdrowieniem „Czuwaj”; 3) kompozytor włoski, twórca m. in. „Cyrylika Sewilskiego”; 4) hawajska nazwa gitary; 5) tytuł staropolski; 8) obchodzi imieniny 8 lipca; 9) trudni się wydobywaniem i transportem piasku; 11) republika we wschodniej Afryce; 12) obszar leśny, z którego wyrabano drzewa; 13) ciągnie wilka do lasu; 14) stop miedzi z cynkiem.

BUK



DUET KRZYŻÓWKOWY

POZIOMO: — 1) utwor literacki o rozwiniętej fabule i gawędziarskim stylu narracji; 6) instrument muzyczny (flet Pana); 7) roślina warzywna, wieloletnia; 10) rozbiłają się o mor- ski brzeg; 11) marcowe solenizantka; 15) włoska aktorka filmowa; 16) rzecz o- torka banana; 17) słewki wyrosłe pod drzewem z samostewu; 18) łączność, sty- czność; 19) bagieny las nad Amazonką.

PIONOWO: — 2) zespół urządzeń stosowanych w górnictwie i przemysle; 3) Stanisław Ignacy Witkie- wicz; 4) uczoney frankijski, doradca i biograf Karola Wielkiego; 5) człowiek przebiegły, doświadczony; 8) postać lekarstwa; 9) brak chęci do pracy; 11 „siedzi” na końcu lufy karabinu; 12) odgłos uderzeń konskich czapek w ołok u kopyt; 13) kolorowy otok u Glass Grzegorz.

BUK



